

# WIAS

W NUMERZE

WIEŚ O PLANIE SZESZCIOLETNIM — korespondencje terenowe.  
I. KOZŁOWSKA — Trzy pokolenia robotniczej rodziny. W. RYMKIEWICZ — Ziemia Wyzwolona.  
Z. RZEPLIŃSKA Umarli pozostają młodzi. K. DĘBNICKI — Bogata praca i słowem.  
Z. GARSTECKI — Jak pracuje człowiek nadziecki. B. CÍRLIĆ — Klasyki czeskiej prozy.  
T. SZEWEA — Czas się zatrzymał w Szklarskiej Porębie. J. K. MACIEJEWSKI — Pomóżmy znaleźć drogę...  
A. DASZEWSKA — Młodzież ZMP buduje Nową Hutę. Z. SZARON — Malum necessarium.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 6. VIII. 1950 r.

Nr 31 (262)

ADAM POLEWKA

## NOWA HUTA ZNOSI „NĘDZĘ GALICJI”

Zabór austriacki, irracjonalnie zwany Galicją i Głodomierią, akumulował w pewnym sensie na obszarze naszego województwa przykładową nędzę chłopską, robotniczą i inteligentną, zaoferował gospodarcze i ciemnotę, szczególnie wsi. Od Wisły ku górom, jeśli odliczymy dołączone po wojnie i względnie zamożniejsze powiaty miechowski i olkuski, legła od dziesiątek lat przysłowiowa i beznadziejna galicyjska nędza. Austriacki zabórca usiłował w pierwszych dziesiątkach lat po rozbiorach ze w-gię-

Upośledzony, ubogi, nędzny dotychczas obszar Polski południowej dopiero w epoce socjalizmu znalazł wyjście ze ślepego zaułka gospodarczego i z beznadziejności bytowania.

Niedorozwój, skarcenie gospodarcze województwa krakowskiego w przeszłości wytworzyły w naszym województwie typ człowieka albo tak przytoczonego nędzą, że indywidualna troska o jednostkę jutro stała się jego filozofią życiową, pełną rezygnacji, którą tylko od czasu do czasu macił oddech żywiołowy buntu,

i uważało za szczyt protestu społecznego „Zielone baloniki”. Gdyby Kraków i województwo krakowskie były okręgami przemysłowymi, wiele zjawisk kulturalnych wyglądałoby inaczej, inna byłaby psychika krakowska. Z zabytków i pomników historii, niewątpliwie pięknych i bezcennych, nierobionoby w literaturze programów ideologicznych i politycznych, nie byłoby chorej twórczości Wypisłańskiego i recepty „Wesela” na odrodzenie narodu przez oparcie się o chłopski prymityw i chłopską żywiołowość, Orkan znalazłby dla nędzy chłopskiej jako rozwiązania nie marzenie utopijne albo lament beznadziejny, ale walkę klasową, ale rewolucyjną drogę do społecznego wyzwolenia chłopca i robotnika, na którą to drogę nie wstąpił mimo wpływu, jaki na niego wywierał Julian Marchlewski. Nie byłoby „nobilizacji” na inteligenta przez maturo — jak to określili Boy Żeleński, nie czułby się inteligent tak różną i wyższą warstwą społeczną, jaką się czuł widząc

swą przyszłość głównie w biurokracji i w karierze, a uczeni krakowscy nie byłiby kastą kapłanów wiedzy, a nawet mole książkowe nie musiałyby być ramolami.

W takich warunkach na ziemi krakowskiej mógł kwitnąć feudalny arystokryzmu, jego imitacja w dziedzinie kultury w formie „arystokryzmu ducha”, drobnomieszczańskiego kultu i o dostojnej tuszy — Klerikalizm.

Polska Ludowa wiele już zmieniła w psychicznej strukturze naszego województwa likwidując obszarników i kapitalistów. Jak w całej Polsce tak i w naszym województwie rosną nowi ludzie, ludzie epoki socjalizmu. Rośnie przede wszystkim nowy typ człowieka w ród młodzieży. Obecnie budownictwo socjalistyczne pociąga, urzeka, a Nowa Huta w pragnieniach i marzeniach nie tylko młodzieży ale i ludzi dorosłych (i starszych nawet) urasta do rozmiarów legendy. Ludzie



Stary Kraków

dów podatkowych sztucznie uprzemysłowić Galicję, sprowadzając niemieckich rzemieślników i przemysłowców po linii polityki germanizacyjnej, biurokracjonalnie propagując pewne nawet nie mające zbytu galicyjskie przemysły jak np. pończosznictwo, wykwinne wyroby spożywcze itp., ale już zaprowadzenie połączenia kolejowego Galicji z zachodnimi austriackimi prowincjami w połowie XIX wieku spowodowało, głównie przez obniżkę kosztów transportu, że przemysł austriacki najpierw zagroził poważnie zaczątkom galicyjskiego przemysłu a wreszcie spowodował upadek galicyjskiej wytwórczości przemysłowej. W tym czasie ustalili się w Wiedniu poglądy, że rola Galicji winna ograniczać się do roli kolonii rolniczej, nabywającej z krajów austriackich produkty przemysłowe. Toteż gdy w Królestwie Polskim i dzielnicy pruskiej po roku 1870 mamy znaczny rozwój przemysłu, w Galicji w ostatnich dziesięcioleciach wieku XIX-go produkcja spada a zakłady pracy ulegają likwidacji. W latach 1871 — 1875 upadło 6 hut szklanych. W latach 1871 — 1875 upadły cukrownie tak, że w następnym dziesięcioleciu w ogóle nie produkowano w Galicji cukru. Produkcja rudy żelaznej spadła w latach 1889 — 1904 z 9.000 ton na 3.800 ton. W roku 1905 zamknięto ostatnią hutę żelaza. Odład ruda żelazna galicyjska była przetwarzana poza granicami Galicji. Rosta jedynie produkcja węgla kamiennego, ropy naftowej i soli. Dla województwa krakowskiego pewne znaczenie miało tylko górnictwo węglowe, bo kopalnie soli w Bochni czy Wieliczce niewiele podnosiły swoją produkcję i niewiele mogły nowych rąk zatrudnić.

W Polsce międzywojennej rządy burżuazji, a w szczególności rządy sanacyjne, darzyły województwo krakowskie conajwyżej frazesami o konieczności zmian w gospodarce i strukturze. Nędza galicyjska zmieniła tylko nazwę na sanacyjno-mocarstwowa, a biurokracja sanacyjna wielbiła i zaiecała do wielbienia zamiast bokobrodów Franz-Josefa — wasy Piłsudskiego, też Józefa.

Przeludnienie wsi, szczególnie podgórskich, w województwie krakowskim było tak jaskrawe i tak straszliwe już z końcem wieku XIX-go, że Władysław Orkan w roku 1900 pokazuje w noweli „Nad urywkiem” chłopca, który patrząc na coraz większy podział gruntów, na coraz węższe chłopskie pola — widzi pod swoimi nogami „czarną otchłań” — przepaść. To przeludnienie sprzyjało masowemu charakterowi, epidemiom i chorobom na skutek głodu lub niedożywiania, a wreszcie masowej emigracji do krajów zachodnich, i Ameryki.

Reforma rolna, likwidacja obszarnictwa i przesiedlenie na ziemię zachodnie dość znacznej liczby ludzi, szczególnie chłopów, nie rozwiązały i nie mogły całkowicie rozwiązać problemu przeludnienia w województwie krakowskim. Ten problem rozwiązuje uprzemysłowienie naszego województwa i równoległe z nim organizacja spółdzielni produkcyjnych.

albo też formował drobnomieszczański światopogląd, nazwany kiedyś przez satyrka „światopoglądem krakowskim”. Ten „światopogląd krakowski” rozwijał się w dziedzinie politycznej od czarno-żółtego lojalizmu do kopca Piłsudskiego, w dziedzinie zapatrywań społecznych od feudalnego konserwatyzmu do solidarystycznych nastrojów ślasyng „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i jego prasowo-brukowych przybudówek, od pielgrzymek do Kalwarii do chrześcijańskiej-demokracji i prawniczej PPS, jako szczytu postępowości mieszczańskiej. Trafnie westchnął w 1924 roku jeden z prawniczych przywódców PPS, mówiąc do swoich kolegów: „Popelniliśmy błąd, żeśmy po wojnie nie tworzyli wielkiego stronictwa mieszczańskiego”. Supremacja, ideologiczne panowanie nad Krakowem i województwem krakowskim drobnomieszczaństwa, biurokracji, kamienicznika, zaoferowanego rzemieślnika, dorobkiewicza — kupca, nawet na ruchu robotniczym wyciskały swoje piętno. Brak wielko-przemysłowego proletariatu, mały stosunkowo procent ludności zatrudnionej w wielkich zakładach produkcyjnych, dawał mieszczaństwu i drobnomieszczańskiej kulturowi możliwości wywierania ideologicznego nacisku i umacniania władzy kapitalistycznych wyzyskiwaczy.

Mimo tak niekorzystnej bazy gospodarczej nie brak dziejom Krakowa pięknych rewolucyjnych momentów. Włączył się Kraków i ziemia krakowska w kościuszkowską rewolucję, gośnią stała się tragiczna, ale piękna w swej postępowości rewolucja 1846 r., potem rewolucja r. 1848, chłopska partyzantka w lasach chrzanowskich prowadzona przeciw austrykom w 1849 r., sławny był proces Waryńskiego i towarzyszy, wprawdzie tylko młodzieży studenckiej, inteligentów i rzemieślników — w roku 1880, a wreszcie kiedy z początkiem XX wieku powstały w Krakowie stosunkowo większe zakłady fabryczne i począł narastać proletariatu, nurt rewolucyjny znalazł już swoje oparcie w robotnikach fabrycznych. W historii Krakowa zapisały się czerwonymi zgłoskami rok 1923 i 1936, lata rewolucyjnej walki.

W dziejach województwa krakowskiego zapisały się walki i strajki chłopskie, jak Zapanów, walki w Limanowskim itp. Był Kraków przez dziesiątki lat bazą napływowych rewolucjonistów, zapisał w kartach swojej historii pobyt wielkiego Lenina i przyjazd Stalina w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową, ale musiał czekać aż do epoki socjalizmu, aby stać się w pełnym sensie bazą społeczną dla przemian rewolucyjnych.

Upośledzenie gospodarcze Krakowa i krakowskiego województwa tworzyło wśród większości inteligencji typ umysłowości chorej, pełnej pretensjonalności, zarozumiałego tradycjonalizmu, bezproduktywnych marzeń o wielkości, świejących blaskiem próchna, tworzyło inteligentnie buntowanie się, które szamotało się w atmosferze drobnomieszczańskiej

MARIAN L. BIELICKI

### W oczach robotnika

Towarzyszom w Starachowickich Zakładach

Robotnik patrzy:

Długa hala,  
firanki sadzy nad oknami  
Z tokarki spływa wstęga stali  
jękliwe brzęcząc po betonie...  
Na ścianie czerwien materiału —  
transparent. Napis już spłowiły:  
„Plan sześcioltni wykonamy...”

Robotnik mocniej zwiera dłoń,  
obrotom trybów mierzy lata,  
stęsami części normy mnoży  
i dzień dzisiejszy z jutrem spleta...  
Sześć lat to jeszcze nie najgorzej.

Huczą tokarki zgodnym chórem,  
jak struny harfy rozedrgane.  
Przed nimi czas spłoszony zmyka,  
a na wykresie biegnie w górę  
linia zwycięstwa, krzywa planu  
wiedziona ręką robotnika.

Robotnik myśli:

Mały synek  
pewno zasypia w swej kołysce...  
— Tadeusz, skocz do magazynu,  
stali nie wiele mi zostało.  
Tokarka kołysankę nuci...  
— Co myślisz, Tadek? Jak czas skrócić?  
trzeba się za to wziąć, a wszyscy!

Sześć lat, rozumiesz, a mój mały  
wtedy do szkoły zaczął chodzić  
i przed tą szkołą będą... różę,  
ja chcę by kwiaty miała młodzież.  
Sześć lat to wcale nie tak dużo.

Trzeba je tylko w ryzach trzymać,  
Plan mówi tysiąc — ja dwa daję.  
Patrzcie, tokarka mnie rozumie,  
Patrzcie, jak słucha mnie maszyna  
i w marcu plan kwietniowy kraje  
bez głośnych fanfar i bez szumu.

Robotnik widzi:

Jego praca  
utwierdza świat szczęśliwych ludzi,  
Dwie normy dziennie! To czas skracca,  
to wznosi setki szkół dla dzieci,  
wystrela kominami w niebo  
i, by nie brakło nigdy chleba,  
skorupę ziemską ze snu budzi.

Myśl robotnika w przyszłość leci,  
ręce budują radość syna.  
Sprężynę czasu tokarz poznał:  
kiedy się żyje pasją czynu  
sześć lat i w trzy wykonać można.

Zegar odmierza czas powoli,  
spokojnie śpi w kołysce dziecko...  
Robotnik, lata gniołąc w palcach,  
z myślą o planach, różach, szkole,  
do swej tokarki cicho szepcze:  
— O to walcz!

Marian L. Bielicki



Nowa Huta

z dnia na dzień coraz więcej żyją Nowa Huta, jako punktem centralnym i symbolem gospodarczej przebudowy naszego województwa.

Ustawa o 6-letnim planie tak kreśli obraz tej przebudowy:

„Należy silnie rozbudować wielki przemysł w okręgu krakowsko-chrzanowskim oraz rozpocząć uprzemysłowienie doliny Dunajca i dzięki temu zmniejszyć przeludnienie rolnicze, występujące jeszcze w województwie krakowskim.

Należy wybudować nową wielką hutę pod Krakowem, rozbudować na wielką skalę zakłady chemiczne w Dworach. Wybudować zakłady górniczo-hutnicze, cynku i ołowiu w rejonie Olkusza i Chrząnowa, zakłady przemysłu bawelnianego w Andrychowie, fabryki włókien ciętych i dwusiarczku węgla w Bochni, elektrownię ciepłą w Jaworznie oraz 40 innych zakładów przemysłu wielkiego i średniego, zwiększyć wartość produkcji przemysłu socjalistycznego ponad trzykrotnie oraz podnieść zatrudnienie w przemyśle do 230 tys. osób”.

Liczba izb mieszkalnych ma być w związku z budownictwem przemysłowym zwiększona o 83 tysiące, głównie przez budowę miasta Nowej Huty. Budownictwo mieszkaniowe będzie prowadzone również w Chrzanowie, Trzebini, Jaworznie, Szczakowej Oświęcimiu, Olkuszu, Andrychowie, Tarnowie, Nowym Sączu, Bochni i Nowym Targu.

W związku z budownictwem przemysłowym ma być rozbudowany węzeł krakowski kolejowy i drogowy, głównie dla potrzeb Nowej Huty.

Ustawa określa wysoki procentowy wzrost produkcji rolniczej i hodowlanej. Nakazuje rozwinąć gospodarkę warzywniczą i sadowniczą. Nie zapomina też o współpracy z przyrodą. Ma być przeprowadzone zalesienie terenów narażonych na erozję wodną na obszarze ok. 30 tys. ha. Zalesione mają być zwłaszcza zbocza górskie. Nędza chłopska, rabunkowa gospodarka sanacyjnych spółek kapitalistycznych w okresie międzywojennym, wreszcie okupanci hitlerowscy — te czynniki doprowadziły do dewastacji wielkich obszarów leśnych naszego województwa. Wypięnię lasów i obnażenie zboczy z szaty roślinnej wpłynęło w rozległych okolicach karpaccich na wyschnięcie źródeł i potoków oraz obniżenie poziomu wody gruntowej, a przez to dalsze jałowienie ziemi. W okresie ulewnych deszczów woda z pozabawionych roślinności zboczy spada w dół jak z dachu i rodzą się kleski powodzi. Projektowane przez ustawę zalesienie ma likwidować owe orkanowskie „roztoki” i zapobiegać powodzom. Dla ochrony przed powodziami ma być zbudowany zbiornik na Dunajcu, który zarazem służyć będzie celom energetycznym.

W województwie krakowskim buduje się zatem największe obiekty planu 6-letniego, giganty polskiej 6-latki. Roczna produkcja Nowej Huty będzie wynosiła więcej niż przedwojenna roczna produkcja wszystkich istniejących w naszym kraju hut. Produkcja elektrowni w Jaworznie stanowić będzie poważny procent produkcji energii elektrycznej w Polsce. Zakłady chemiczne w Dworach koło Oświęcimia, stanowiąc będą jeden z poważniejszych obiektów rozbudowanego przemysłu chemicznego w Polsce.

Budowa tych obiektów wiąże się z budową nowych linii komunikacyjnych, kolei, dróg bitych, rzecznych, mostów, wiaduktów, a przede wszystkim z budową nowych miast robot-

niczych, jak miasto przy Nowej Hucie na 100.000 mieszkańców oraz osiedla w Oświęcimiu na 40.000 mieszkańców.

Przy budowie tych obiektów pracować będzie 50.000 ludzi, a zakłady te w okresie produkcji zatrudnią 50.000 robotników. O skali budowy tych obiektów dają wyobrażenie takie np. fakty, że budowa Nowej Huty pochłonie półroczną produkcję wstytek cementowni w Polsce, a dla budowy samego obiektu przemysłowego potrzeba 100.000.000 cegieł. Koszt budowy Nowej Huty przerosnie 30-krotnie koszt budowy trasy W-Z.

Do chwili obecnej wybudowano już w Nowej Hucie 55 bloków mieszkalnych, z czego oddano do użytku 18. Wybudowano 24 km dróg kołowych i naprawiono 7,5 km, wybudowano 16 km linii kolejowych, zbudowano most oraz szereg przejazdów kolejowych. Wykopano i przewieziono blisko milion metrów sześci ziemi, dokonano szeregu prac przy budowie portu na Wiśle.

W Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu odbudowano i wybudowano wiele hal fabrycznych, zmontowano olbrzymie ilości urządzeń produkcyjnych. Wybudowano i oddano do użytku 2.000 izb mieszkalnych. Wykonano mnóstwo prac laboratoryjnych i próbnych.

Tych kilka przykładów wystarczy dia ilustracji rozmachu z jakim przystąpiono do uprzemysłowienia naszego województwa.

Gigantyczne dzieło budowy Nowej Huty i innych obiektów przemysłowych jesteśmy w stanie prowadzić dzięki wspaniałej i braterskiej pomocy Związku Radzieckiego. Pomoc ta polega na dostarczaniu dokumentacji technicznej, najnowocześniejszych urządzeń, maszyn i sprzętu oraz na stałej współpracy wybitnych radzieckich fachowców. Jak bohaterka Armia Radziecka uratowała od zniszczenia i zagłady swoje poświęcenie, wspaniałą odwagę i genialną staliniowską strategię wie i miasto naszego województwa, a w szczególności Kraków, tak teraz radziecki robotnik i inżynier podał nam braterską pomocną dłoń w budowaniu lepszego socjalistycznego życia. Jak w okresie wojny związała naszych żołnierzy z żołnierzami radzieckimi wspólnie przelana krew na polach bitew przeciw faszystowskiemu barbarzyństwu, tak dziś na polach pokojowej walki o naszą gospodarczą i kulturalną przyszłość cementuje się braterstwo radzieckich robotników z polską klasą robotniczą, przeciwstawiając barbarzyńskim działaniom i planom kapitalistycznych wojennych podżegaczy twórczą, pokojową, socjalistyczną pracę.

Budowanie przemysłu w ramach planu 6-letniego zmienia już w tej chwili strukturę społeczną naszego województwa. W ciągu roku załogi na trzech budowach w Nowej Hucie, Jaworznie i Dworach wzrosły do 24.000 ludzi, a do końca roku wzrosną do 36.000. Obok robotników wykwalifikowanych gromadzą się coraz liczniejsi ludzie ze wsi, małorolni chłopcy głównie z południowych powiatów woj. krakowskiego, a wśród nich młodzież wiejska zorganizowana w brygadach SP. i ZMP, oraz kobiety. Już teraz 95 proc. zatrudnionych to ludzie nowi w budownictwie i przemyśle, ludzie ze wsi, wstępujący w klasę robotniczą. Są oni jeszcze mniej lub więcej ze wsią związani, politycznie jeszcze mało uświadomieni, nie posiadają przyzwyczajenia i tra-

(dokończenie na str. 6-ej)

# WIEŚ O PLANIE 6-LETNIM

Mówiąc o realizacji planu 6-letniego Prezydent Bierut stwierdził: „Warunkiem naszego zwycięstwa jest, aby każdy człowiek pracy stał się świadomym twórcą planu 6-letniego. Trzeba więc, aby każdy od dziecka poczynając — znał Plan i program budownictwa socjalizmu, aby każdy człowiek pracujący stał się oddany sprawie budowy socjalizmu, bojownikiem i ofiarnym realizatorem Planu 6-letniego”.

Zamieszczone obok głosy korespondentów to pierwszy odzew terenu na plan 6-letni. Głosy te aczkolwiek pisane „na gorąco” bez należytego zgłębienia całej problematyki wskazują, że warunek, o którym mówił Prezydent Bierut zaczynamy realizować, że plan zaczął przenikać w masy wiejskie, że mało i średniorolny chłop zaczyna plan widzieć „koko siebie” w miejscowych konkretnych zamierzeniach i osiągnięciach, w jego miejscowym działaniu. Wyjaśnianie planu 6-letni, popularyzacja go, umiejscawianie i ujęcie rozpoznawanie w terenie — to podstawowe zadanie naszego aktywno na wsi. O doniosłości tego zadania mówi głos Jelonek. Jego rozmówce nie zadawała oświadczenie, że w planie 6-letnim produkcja rolna podniesie się o 50 procent. Pada rzeczowe pytanie, w jaki sposób? Kto w terenie potrafi przekonywać odpowiedzieć na to pytanie, ten zdobywa towarzysza w marszu do socjalizmu. Umieć odpowiedzieć na to pytanie to znaczy najskuteczniejszą przeprowadzić ideologiczne szkolenie. W „tajemniczy” plan nowego i stalego podnoszenia produkcji zawiera się właśnie istota socjalizmu. Poprzez walkę klasową znosimy wyzysk człowieka przez człowieka, wyzwalamy pracę, a więc umożliwiamy jej wyższe formy: współzawodnictwo i racjonalizatorstwo, a więc podnosimy jej wydajność, a więc osiągamy stały wzrost produkcji.

Plan 6-letni to plan równania dróg do socjalizmu, wyrównywania różnic gospodarczych, to plan, który wykreśli ze słownika pojęcie zapadłych kątów i stęchłych dziur. Prowincja stanie się pojęciem czysto geograficznym a nie gospodarczym. Wielkie ramy planu 6-letniego pobudzają chłopów do planowania we własnym terenie do opracowywania i realizowania własnych miejscowych planów. W każdej okolicy wylaniają się specyficzne zadania. W gminie Kazimierz, jak donosi Jelonek, planuje się elektryfikację i kanalizację, zmianę nawierzchni dróg oraz odwodnienie łąk, zabagnionych na skutek zapadania się terenu nad starymi

kopalniami. Osobne zagadnienia ma wieś podhalańska, o której pisze Andrzej Skupień — Florek.

W przemówieniu końcowym na V Plenum KC Partii Prezydent Bierut powiedział: „...wiemy, że na nasz plan 6-letni wróg odpowie jeszcze wścieklejszą nienawiścią, jeszcze podstępniejszą walką, jeszcze bardziej niż dotychczas perfidną i zartutą bronią! Wróg już odpowiedział. Czytamy o tym w wypowiedzi Seweryna Skulskiego. Metody walki to „straszanie planem sześcioletnim”. Chodzi o odsunięcie chłopów od planu, o zneutralizowanie mobilizującego, aktywizującego charakteru planu, o podważenie wiary w jego realizację. Wypowiedź ta zmyślała nam jasno, jak bardzo centralnym punktem walki klasowej staje się plan 6-letni. Wróg bowiem zdaje sobie sprawę, że nie jest to tylko plan gospodarczy. „Plan 6-letni — to plan, który stworzy mocne i niewzruszone podstawy nowego ustroju społecznego w Polsce, podstawy socjalizmu”. „Plan 6-letni to program nie tylko gospodarczy lecz równocześnie ideologiczny, polityczny, społeczno ustrojowy”. Plan sześcioletni zakłada naktynowanie mas chłopskich, ich świadome i czynne włączenie się w budownictwo socjalistyczne. Przez pierwsze lata po Manifestie Lipcowym często działo się tak, że Państwo Ludowe dawalo, a chłop brał, klasa robotnicza wyciągała go z nędzy i wyzysku a on ledwo na to „pozwał”. Nie mogąc skutecznie przeciwstawić się przemianom wsi polskiej wróg klasowy starał się i stara, by te przemiany przechodziły, jeśli już nie wbrew to przynajmniej mimo chłopów i poza nich...  
Lecz wróg klasowy przegrzyna i na tych pozycjach. Lata realizacji Manifestu Lipcowego, planu odbudowy i planu trzyletniego rozbudziły w masach pracujących chłopstwa świadomość klasową i ugruntowały zaufanie do władzy ludowej. Dobitnie o tym mówi wypowiedź Skulskiego. Z „przedmiotu” budownictwa socjalistycznego, chłop staje się jego świadomym i czynnym podmiotem. „Plan 6-letni to my i nasza praca” — mówi ob. Kosicki z Karnkowa, a dwuhektarowy biedniak Szymek zapowiada: „będę się domagał, ażeby w środku naszej wsi stanął wielki dom kultury, bo ten lokal świetlicowy, jaki mamy nie zadawała mi!”  
To jest odpowiedź wrogowi na próby utrzymania chłopów w bierności i bezwładzie. To jest gwarancja, że podstawowy warunek wykonania planu zostanie spełniony.

Lecz wróg klasowy przegrzyna i na tych pozycjach. Lata realizacji Manifestu Lipcowego, planu odbudowy i planu trzyletniego rozbudziły w masach pracujących chłopstwa świadomość klasową i ugruntowały zaufanie do władzy ludowej. Dobitnie o tym mówi wypowiedź Skulskiego. Z „przedmiotu” budownictwa socjalistycznego, chłop staje się jego świadomym i czynnym podmiotem. „Plan 6-letni to my i nasza praca” — mówi ob. Kosicki z Karnkowa, a dwuhektarowy biedniak Szymek zapowiada: „będę się domagał, ażeby w środku naszej wsi stanął wielki dom kultury, bo ten lokal świetlicowy, jaki mamy nie zadawała mi!”  
To jest odpowiedź wrogowi na próby utrzymania chłopów w bierności i bezwładzie. To jest gwarancja, że podstawowy warunek wykonania planu zostanie spełniony.

Seweryn Skulski

## Już nie ta przedwojenna wieś

Moja wieś Karnkowo ma tytuł pierwszej wsi w gminie Jastrzębie, ale czy stusze? Pomimo, iż tu jest więcej członków ZMP, tu jest siedziba ośrodka maszynowego i gminnej spółdzielni, tu odbywają się gminne uroczystości i obchody. Ma jednak moja wieś kilkunastu dawnych przywódców wsi przedwojennej, chłopów, którzy są wstecznych zapatrywań. Oni kiedyś tworzyli komitet parafialny, oni z byłym dziedzicem omawiali potrzeby wsi i zawsze dochodzili do wniosku, że we wsi wszystko dobrze, wsi nie potrzeba, chociaż mieliśmy tu ponad 50 nikomu nie potrzebnych ludzi a młodzież bez celu, bez nauki, chleba i potrzeb kulturalnych walała się po wsi. Ci przedwojenni wodzowie wsi, każdy postęp na drodze do socjalizmu przedstawiają na opak i nastroją wrogo, kogo się da. Tak samo jest z planem sześcioletnim. Usiłują wnieść w tych, którzy im jeszcze swych uszu nadstawiają, że po wykonaniu tego planu każdy z nas zostanie bez koszuł i igły na własność posiadani nie będzie.

W mojej jednak wsi są wściekłe dwie wsie. Ta druga wieś składa się z Tomczaków, Wojciechowskich,

Głowackich, Kuligowskich, Kosickich, Wiśniewskich i wielu innych, którzy w większości wsi zamieszkuje a posiadają od kilku arów do czterech ha ziemi i rodziny składają się nieraz z 10 osób. Ta druga wieś widzi wyraźnie, odczuwa i rozumie różnicę między życiem przedwojennym a obecnym. Przejście nie w ich zapatrywaniach jest wielkie. Nie są oni zadowoleni z dotychczasowych osiągnięć mojej wsi, ale dlatego, że pragną dalszych jeszcze głębszych przeistoczeń.

Leon Wojciechowski trzy hektary powiada tak:

— Każdy ojciec winien dbać o zapewnienie przyszłości dzieciom swoim. Mam ich siedmiu, w czym pięciu chłopców posłusznych i chętnych do nauki. Z bojaźnią patrzyłem na nich przed wojną. Wiadomo, wianować nicem ich nie mogłem, na naukę nie było. Dziś przekonano mnie, że ja jestem ich rodzicem a ojcem im stała się Polska Ludowa. Czterech moich chłopców uczęszcza do szkoły zawodowej, gdzie uczą się dobrze. Sześciolatek plan wszedł w życie i gdy go wykonamy — ja nie mam żadnej bojaźni o przyszłość swoich chłopców. Do „Ameryki” nie potrzebują jechać, tu w

parafialnego. Czy to chrzciny czy inna okazja, zapraszałem go w gościnę, bo jakże by nie — wódz wsi. On żenił jedną córkę, żenił drugą czy mnie i żonę moją zaprosił? Byłoby mu to ubliżeniem, gdybym ja dwu hektarowy znalazł się tam, gdzie częstuje się wójta, rządę, organistę, sklepikarza.

Tak samo straszę mnie planem sześcioletnim. A ja całkiem na ten plan patrzę inaczej. Przecież powiększenie produkcji rolnej i fabrycznej nie nędze, ale polepszenie warunków życiowych nam przyniesie. Ja jak przystąpię do spółdzielni produkcyjnej to będę pracował uczciwie i będę się domagał, ażeby na środku naszej wsi stanął wielki dom kultury, bo ten lokal świetlicowy, jaki mamy, nie zadawała mi. To jest nie, podług tego co nam plan sześciolatek dać powinien.

Cztero hektarowy Józef Głowacki mówi:

— Witaj wy, chłopcy, że maszyna w rolnictwie to wielka rzecz. Ani sobie człowieku kości nie namaliesz, zrobisz przedź i lepiej. Mówta co chęta, ale ja wam powiadam, że żniwiarka, kopaczka, siewnik zbliża nas do wspólnej pracy. Bo czy ty, człowieku, na tym małym skrawku ziemi możesz jedną i drugą maszynę nabyć? Każdy z nas sęka i gada, że przydałoby się to i tamto, ale to tylko gadanie. Patrza jak mnie i sąsiadowi tego roku idą sprawnie zniwa przy sąsiedzkiej pomocy z pomocą maszyn. Aniś się chłopie obejrzał a żyta w sнопach już schną.

Mam ośmiu dzieci a ziemi mało, ale ani na chwilę strach mi nie przechodzi w czym oni jutro będą chodzić co jeść, gdzie mieszkać i co robić. Wiem, że plan sześciolatek da im jedno i drugie.

Gadają ludzie bo gadają. Miodem takiego wysmaruj a on jeszcze będzie gadał. Ale jak dobrze pomyślisz coś, gamoniu miał a co masz i jak cię traktowano to przestań niesz paplać a mówić po ludzku kulturalnie.

Kulturalne potrzeby mojej wsi są wielkie. Dzisiejszy lokal świetlicowy jest w nieodpowiednim miejscu, i nie jest należycie obsługiwany. Kierownictwo zespołu świetlicowego jest w dobrych rękach, ale te jedne ręce nie są w stanie wszystkich robót wykonać a co zatem idzie kuleje praca w zespole, np. pęd do sportu u młodzieży jest wielki, talenty śpiewacze i teatralne są, brak instruktorów których by naprawde młodzież pokochała i żywiłowa za nimi poszła. Umieemy wiele uchwalać, referaty głosić i projekta sypać jak z rękawa, ale do wy-

konania sami się nie bierzemy. Wieś, moja wieś postępowo wierzy, że plan sześciolatek da jej kogoś, kto będzie umiał i kto zechce z naszą wsią popracować i pokierować jej życiem kulturalnym i gospodarczym. Ludzie do tej pracy u nas się zrażają, trzeba ich tylko wyciągnąć i szkolić. Tych kilku starych „wodzów” co nas tumanili, młodej i postępowej wsi rady nie da, wieś pójdzie do socjalizmu i wspólnej zespolowej pracy.

Ziemia we wsi naszej nie oszuka nas, jeżeli my jej oszukiwać nie będziemy. Szymczaki, Tomczaki, plan sześciolatek wprowadzają w życie na swoich kilku hektarach. Zakontraktowali lny i konopie, przeczytali instrukcje, poradzieli się tych, którzy coś wiedzą o tych roślinach, zasiali w porę i w odpowiednie miejsce. Mają lny do pasa, konopie ponad głowy. A jak to robią piętnastohektarowi wobec tego planu i ci, którzy stracili wzdostwo nad wsią?

A no, podnieśli się na zebraniu gromadzkim i dla oka pobrali po 10 arów lnu i konopi i aby „udowodnić” że ich ziemia tego nie obrodzi i aby na rok następny tego nie kontraktować; lny i konopie posiali tam, gdzie się nie urodzą, posiali za późno i z chwastami nie walczyli. W porze rwania ich lny są nikłe, konopie — nędza.

To ukazuje jeden ze sposobów walki bogaczy i wsteczników z planem sześciolatek.

We wsi mojej w miarę rozrostu gminnej spółdzielni, rosną kadry organizacji podstawowej. A przedźniwe przygotowania gromadzkie wykazały, że mieszkańcy wsi tego roku z większym zrozumieniem własnego i ogólnego dobra przystąpili do pracy. Ta łączność i rozumienie będzie się dalej pogłębiać. Jeszcze jest i zło, ale we wsi jest coraz więcej takich, którzy je widzą i palcami, bez obawy czy ktoś kumoter, czy sąsiad, pokazuje.

To wszystko świadczy o rosnącej świadomości klasowej w mojej wsi. Postępowa jej część myśli tak, jak się wyraził trzy hektarowy ob. Kosicki — „Plan sześciolatek to my i nasza praca”.

Jeszcze mamy walczyć się rudery. Jeszcze tu i tam ktoś nie nie czyta. Jeszcze tu i tam ktoś konus do uszu szepece o „prawdomówności”, „Głodu Ameryki”. Jeszcze jednej i drugiej kumosi ktoś u krasuli mleko „zamówił”. Ale to już nie ta przedwojenna wieś a jeszcze inną będzie. Spodziewamy się tego po sześciolatek planie.

Seweryn Skulski Karnkowo.

Jan Jelonek

## Pierwszy krok

Nieraz rozmawiałem z sąsiadami na temat wzrostu produkcji w okresie 6-letniego planu.

— Ja rozumiem, twierdzi mój ciągły oponent Franciszek Ł., że gdy wstawię do fabryki więcej maszyn i przy nich postawię więcej ludzi, to dadzą nam więcej towarów. Ale jak my mamy podnieść produkcję o 50 proc. Dotychczas uzyskujemy 12 q żyta z ha i 80 q ziemniaków z ha. Czy samo nawożenie może wpłynąć, aby otrzymać z hektara 18 q żyta i 120 q ziemniaków?

— Plan 6-letni — wyjaśniam — nie tylko przewiduje wzmocnienie produkcji nawozów sztucznych i maszyn rolniczych, ale planuje również wykształcenie tysięcy specjalistów potrzebnych w rolnictwie. Instytucje naukowe pracują nad wyprodukowaniem nowych bardziej rodnych odmian lub przyswojeniem cennych odmian i gatunków z Krajów ZSRR. My zaś ze swej strony musimy zmienić nasz sposób uprawy jednokierunkowej i 2-u polowej i przejść na uprawę wielokierunkową i wielopolową. Na naszych 1/2 do 2 hektarów gospodarstwach my nie potrafimy, tego postępu wprowadzić bo się rozdrabniamy w produkcji i wysiłekach. Dziesiątki hektarów w postaci dróg polnych, miedzi i wygonów leżą odłogiem i nie dają żadnych korzyści.

— Tak, to racja, ale jak zrobić spółdzielnię, gdy jest 300 płatników podatku gruntowego a 500 ha gruntów? Żeby tak łąki odwodnić i pastwiska uprawić, to byśmy pokazali jak się społecznie gospodarzyć wzdycha Franciszek — a tak bym chciał, żeby Porąbka przodowała całej okolicy. W naszej okolicy nie powstanie ani jedna więcej kopalnia czy fabryka tylko istniejące będą się rozbudowywały, to taka spółdzielnia byłaby nowym dowodem przedwojennymi, podjętej przez chłopów.

— Pomyślcie tylko Franciszku, jak trudno było Bolkowi Uraczowi Chłondowi i Polowskiemu znaleźć przed wojną pracę po ukończeniu szkoły górniczej w Dąbrowie Górniczej. A dzisiaj, mimo, że nie nowego w naszej okolicy z przemysłu nie powstaje a jednak ile już naszej młodzieży co szkoły po wojnie ukończyła znalazło pracę. I setki znajdują jeszcze pracę w tych samych kopalniach i fabrykach, bo dzisiejszy ustrój opiera zwiększenie wydajności produkcji nie tylko na powiększeniu ilości maszyn, nie tylko na wzroście zatrudnienia, ale na wysokim poziomie technicznym i zawodowym pracowników. I widzi-

cie, Franciszku, my chłopcy też musimy się stale douczyć, bo nowa technika rolnicza i nowe kierunki produkcji wymagają od nas pogłębienia wiadomości.

— Ja, prawdę Janie mówię — wtrąca stary Żyłka — toć jak mój Bolek objął gospodarstwo na zachodzie to się musiał od nowa uczyć. A to jakies snopowizadki, kosiarzy, wirówki i inne narzędzia, których my tutaj nie znamy. A jak się rozejrzał w polu to się musiał uczyć wielu nowych upraw, których my tutaj nie prowadzimy. Ale się nauczył i dzisiaj dobrze mu się powodzi. A przed wojną był bezrobotny. I on i Mietek i córka trzy siędziały bez pracy i czekali, że ja ich z tych 2 hektarów wyżywię. Kopalnie o pół kilometra, a oni pracy nie mieli. Dzisiaj wszyscy pracują i mają się coraz lepiej.

— Wiem ja coś o tym, bo 5 lat byłem bez pracy to i wyczerpawalem się do ostateczności. A gdy człowiek szereg lat pracuje bez przerwy, to stale wzmagają się do brobytu w domu, tak jak wzmagają się w gospodarstwie rolnym zasobność, gdy kleski go nie przesładują. A teraz pomyślcie, jak podnieść się stopa życiowa, gdy produkcja się podniesie i dochody z tego będą obrócone na potrzeby całego społeczeństwa

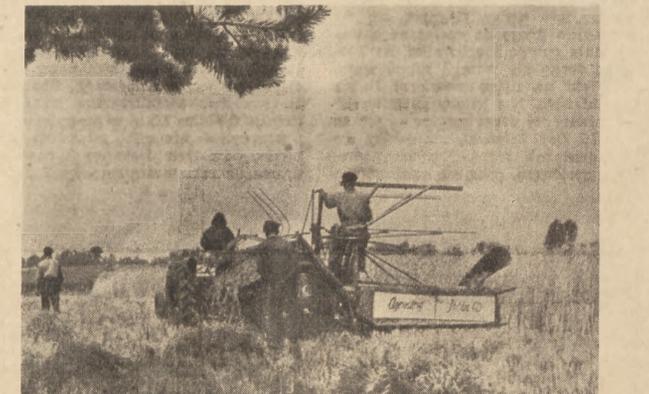
Będziemy mieli właśnie zwiększone dochody ze zwiększonej produkcji, wystarczające na nasze potrzeby, a jeszcze zyskamy zwiększony udział w dochodzie społecznym w postaci wczasów, leczenia bezpłatnego, opieki nad matką i dzieckiem, szkolnictwa bezpłatnego od powszechnego do uniwersyteckiego i wiele innych udogodnień, za które przed wojną musieliśmy płacić a nie było z czego.

Dzisiaj tymi narzędziami i koniakami jakie mamy, nie możemy roli tak uprawić, by zwiększyła nam plony. Ale jeżeli wprowadzimy w pole mocne traktory, głębokie plugi, pogiębiacze i inne narzędzia nowoczesne, to wtedy i racjonalnym będzie zasypać ziemię nawozami i oczekiwać tych wymaganych 18 kwintali żyta z hektara.

Pomoże nam w tym doświadczenie ogrobiologów i rolnictwa Z. S. R. R., którego wzory z dobrym skutkiem uspołecznione nasze rolnictwo będzie mogło stosować.

Wieś Porąbka z gromadami Kazimierz, Ostrowy Górnicze i Maczki w roku bieżącym weszły w skład nowoutworzonej własnej gminy Kazimierz.

W związku z tym powstają w myślach działaczy gminnych szero-



Redakcja

kie plany udoskonalenia życia i produkcji na terenie gminy.

Najważniejsze problemy, jakimi była elektryfikacja niektórych na uboczu położonych kolonii, doprowadzenie wodociągów do 3/4 terenu gminy oraz kanalizacja poszczególnych osiedli będą realizowane już w najbliższym czasie. Tego w ramach poprzedniej gminy Olkusko-Siewierskiej, teren nasz jeszcze by nie otrzymaliśmy.

Dalej w ramach planu 6-letniego planowana jest zmiana nawierzchni dróg z wapniowych na klinkierowe, aby uchronić zdrowie ludności od kurzu wapniowego bardziej szkodliwego od pyłu węglowego w kopalni.

Osobnym problemem niezmiernie interesującym nasze drobne rolnictwo jest sprawa odwodnienia łąk i uprawa pastwisk.

Ponad 100 hektarów łąk i pastwisk coraz bardziej zabagnia się na skutek obniżania się terenu na starych robotach górniczych. Siły Z. S. Ch. są za małe, aby płynąca przez zapiłone łąki rzekę uregulować i teren odwodnić. Ponieważ stanowią one około 15 proc. powierzchni użytkowej, są dla ogólnej gospodarki Porąbki nielada problemem.

Rolnicy mają nadzieję, że Z. S. Ch. w ścisłej współpracy z gminą, partiami politycznymi i Dąbrowskim Zjednoczeniem Przemysłu Węglowego doprowadzą do rozwiązania tego problemu.

Działaczom chłopskim już dzisiaj zjawiają się w marzeniach szumiące łany trawy po pas, na terenach wspólnie uprawianych i obsianych.

Od tych łąk i pastwisk musi się zacząć gospodarstwo spółdzielcze.

Oczywiście są jeszcze zafaceni jak Czap Antek, Szewczyk i inni.

— Mieliśmy — powiadają — w Porąbce kasę Stefczyka, to ją do Strzemieszyc przewieźli i my tam musieliśmy chodzić, tak i z tą spółdzielnią też mogą coś pokręcić. Nie pomaga tłumaczenie, że przecież takiej nieruchomej spółdzielni produkcyjnej nie można przenieść. Trzeba dobrego przykładu aby ich przekonać. Takim dobrym przykładem będzie odwodnienie łąk. Na jednym zebraniu gromadzkim upozważniono już gminną spółdzielnię do przeprowadzenia uprawy i eksploatacji łąk i wspólnych pastwisk.

To będzie pierwszy krok do współdzielczania produkcyjnego naszej wsi.

Jan Jelonek Porąbka.

przemysłu w warsztatach pracę i chleb znajdując. Poczynam pojmować czym dla mnie i wielu innych jest ten plan i czym jest w zasadzie socjalizm.

Dwuhektarowy Szymczak powiada:

— Ja teraz poczynam pojmować różnicę pomiędzy wczoraj i dziś. Balem się socjalizmu, bo mnie nim straszili, a ja go nie znałem. I dziś mnie straszy nim oto ten, tu wskazał ręką na dom byłego wodza wsi i przewodniczącego komitetu

Andrzej Skupień-Florek

## Podhale zmieni oblicze

Wybitnie górski teren podtatrzaskiej okolicy, który cechują wysokie grzbiety i spadziste zbocza, ma odmienne warunki i sposoby uprawy ziemi, od ziem nizinnych naszego kraju. Jednakże ludność tej okolicy wie, że plan 6-letni i tutaj przyniesie wielkie zmiany w ulepszeniu gospodarki i tego się spodziewa.

Gospodarze tutejsi, są nie tylko rolnikami ale i hodowcami, pastwiskami, a nawet robotnikami. Odmienne podgórskiej gospodarki rolnej sprawie, że jeszcze nie jest wiadomo jaka forma spółdzielczości u nas zostanie zastosowana, ale wiemy, że będzie z pewnością taka, która da produkcję najbardziej opłacalną dla Podhala, o tym myśli Rząd, myślą i chłopci. Troška o Podhale znalazła w 6-letnim planie swój mocny wyraz.

Reforma gospodarki na tym terenie będzie polegać z jednej strony na zwiększeniu upraw zielonych, a z drugiej strony na pracach „w wielkim stylu” podjętych w kierunku zwiększenia produktywności hal. Wykonane tu będą rozległe prace melioracyjne na baciówkach, co przyniesie zwiększenie pogłowia owiec ze 107.500 na 162.500 sztuk, a to niezależnie od znacznego zwiększenia pogłowia bydła pod względem ilości, a przede wszystkim jakości. Zwiększenie pogłowia owiec podniesie produkcję wełny o 60 procent rocznie. Warsztaty przerabające na miejscu ten surowiec zwiększą ilość zatrudnionych pracowników o 50 procent. Dotychczasowe roboty sezonowe staną się stałym zajęciem, co dotyczy zwłaszcza chałupnictwa zorganizowanego w Podhalańskiej Spółdzielni Przemysłu Artystycznego a więc kapcarstwo, kilimkarstwo, samodzielną i wszelkie roboty na drutach. Wraz z podniesieniem pogłowia owiec i bydła podniesie się produkcja nabiału, a więc mleka, masła i sera. Zwiększona produkcja nabiałowa włączyła na większe możliwości spożycia, co znowu wpływa na podniesienie stopy życiowej obywateli. Ponadto na terenie Podhala, które — jak to powiedział Prezydent ob. Bolesław Bierut — jest „plucami Polski” dla pracujących mas, przyjeżdżających tutaj po zdrowie i odpoczynek — nastąpi na wielką skalę rozbudowa ośrodków letniskowych w pasie sa-

mego Podtatrzycy ciągnąc się od Witolowa poprzez Kościeliska, południową część Zubuskiego, Poronin z Galicową Grapą na czele, na Bukowinę i do Białki Tatrzaskiej. Miejscowości te połączone zostaną wspaniałą drogą turystyczną biegnącą południowo-wschodnimi stokami z widokiem na całe Tatry. W związku z rozbudową letnisk powstaną liczne zieleńce i parki spacerowe, baseny kąpielowe, pływalnia, a także boiska sportowe, a wszystko to wpłynie na podniesienie zdrowotności i higieny miejscowej i przyjezdnej ludności.

Na wieś podhalańską wkracza szybkimi krokami przemysł. Rozpoczniesz uprzemysłowienie doliny Dunajca. Zobaczymy niebawem mury wielkich zakładów przemysłowych: roszarni lnu, wielkiej fabryki maszyn chłodniczych w Nowym Sączu. Trzykrotne zwiększenie powierzchni sadów, poiągnięte za sobą, rozbudowę zakładów przetwórstwa owocowego oraz rozbudowę licznych chłodziń i przechowalni. Przez uprzemysłowienie wzrosnie rynek pracy, który wchłonie ludność z przeludnionych wsi. To samo spowoduje rozwijający się handel spółdzielczy i różne inne zawody nierolnicze w miejskich ośrodkach stale potrzebujących nowych sił i kadr pracowniczych. Do tego przygotowuje coraz liczniej garncarstwo i ceramika, a także elektryfikacja. W roku 1955 będziemy mieli zelektryfikowanych połowę wszystkich wsi w Polsce, a co za tym idzie radiofonizacja i mechanizacja gospodarstw zespolowych i indywidualnych, pójdzie szybko naprzód, co oszczędzi siły ludzkiej, a przez szybkie wykonanie pracy da więcej wolnego czasu na rozrywkę kulturalną, kształcenie się, przyżycie do kina i na odpoczynek. W tym czasie 6-letniego planu, także i nasza wieś i cały obwód Szkolny Górny Gliczarowa otrzyma porządny budynek szkolny, którego brak ogromnie daje się we znaki i opóźnia postęp oświaty i wykorzenienie analfabetyzmu. Liczymy na pewną elektryfikację tejże wsi, która dotąd tonie jeszcze w ciemnościach. Ufamy, że plan 6-letni zlikwiduje ciemności i z umysłu we wszystkich zapadłych wioskach i osiedlach.

Należy podkreślić, że coraz więcej chłopów rozumie, że o te 180 kg. więcej żyta z ha i podwyżkę plonów innych roślin toczyć się będzie wielka bitwa pracy nie tylko na wsi, ale i w naszych fabrykach produkcyjnych coraz więcej i coraz lepsze maszyny rolnicze, walczyć o nie będą organizatorzy, kierownicy i pracownicy społecznych Ośrodków Maszynowych. Ku temu zmierzac będzie wzmocniona w dwójnasób produkcja i zużycie nawozów sztucznych i poprawa jakości obrabiania przez zwiększenie o 50 procent wzorowych gnojny. Podniesienie plonów w województwie zapewnią nie tylko wyżywienie ludności wsi podhalańskiej ale także znaczne podniesienie się stopy życiowej.

Na koniec trzeba wymienić te zdobycze kulturalne, które przyniesie plan 6-letni, a warunkiem pełnego rozwoju kultury wsi jest elektryfikacja. W roku 1955 będziemy mieli zelektryfikowanych połowę wszystkich wsi w Polsce, a co za tym idzie radiofonizacja i mechanizacja gospodarstw zespolowych i indywidualnych, pójdzie szybko naprzód, co oszczędzi siły ludzkiej, a przez szybkie wykonanie pracy da więcej wolnego czasu na rozrywkę kulturalną, kształcenie się, przyżycie do kina i na odpoczynek. W tym czasie 6-letniego planu, także i nasza wieś i cały obwód Szkolny Górny Gliczarowa otrzyma porządny budynek szkolny, którego brak ogromnie daje się we znaki i opóźnia postęp oświaty i wykorzenienie analfabetyzmu. Liczymy na pewną elektryfikację tejże wsi, która dotąd tonie jeszcze w ciemnościach. Ufamy, że plan 6-letni zlikwiduje ciemności i z umysłu we wszystkich zapadłych wioskach i osiedlach.

Należy podkreślić, że coraz więcej chłopów rozumie, że o te 180 kg. więcej żyta z ha i podwyżkę plonów innych roślin toczyć się będzie wielka bitwa pracy nie tylko na wsi, ale i w naszych fabrykach produkcyjnych coraz więcej i coraz lepsze maszyny rolnicze, walczyć o nie będą organizatorzy, kierownicy i pracownicy społecznych Ośrodków Maszynowych. Ku temu zmierzac będzie wzmocniona w dwójnasób produkcja i zużycie nawozów sztucznych i poprawa jakości obrabiania przez zwiększenie o 50 procent wzorowych gnojny. Podniesienie plonów w województwie zapewnią nie tylko wyżywienie ludności wsi podhalańskiej ale także znaczne podniesienie się stopy życiowej.

Na koniec trzeba wymienić te zdobycze kulturalne, które przyniesie plan 6-letni, a warunkiem pełnego rozwoju kultury wsi jest elektryfikacja. W roku 1955 będziemy mieli zelektryfikowanych połowę wszystkich wsi w Polsce, a co za tym idzie radiofonizacja i mechanizacja gospodarstw zespolowych i indywidualnych, pójdzie szybko naprzód, co oszczędzi siły ludzkiej, a przez szybkie wykonanie pracy da więcej wolnego czasu na rozrywkę kulturalną, kształcenie się, przyżycie do kina i na odpoczynek. W tym czasie 6-letniego planu, także i nasza wieś i cały obwód Szkolny Górny Gliczarowa otrzyma porządny budynek szkolny, którego brak ogromnie daje się we znaki i opóźnia postęp oświaty i wykorzenienie analfabetyzmu. Liczymy na pewną elektryfikację tejże wsi, która dotąd tonie jeszcze w ciemnościach. Ufamy, że plan 6-letni zlikwiduje ciemności i z umysłu we wszystkich zapadłych wioskach i osiedlach.

Andrzej Skupień — Florek Poronin

IRENA KOZŁOWSKA

## TRZY POKOLENIA ROBOTNICZEJ RODZINY

## 1. DZIADKOWIE

Wczesną wiosną, gdzieś w początkach kwietnia 1886 roku przybyła do Łodzi rodzina Tymiaków. Razem 8 osób: ojciec, matka, pięcioro dzieci i stara już babka. Przywędrowali do „ziemi obiecanej“ piechotą, ciągnąc za sobą mały ręczny wózek z dobytkiem.

Dziadek Tymiak, pańszczyźniany chłop nie doczekał carskiego uwłaszczenia, umarł na kilka lat przed nadaniem chłopcom wolności osobistej. Na małej parceli gospodarzył syn. Wspomnianego roku stało się nieszczęście. Od „kopciołki“, nieostrożnie zrzuconej z belki stajennej na siano, zajęły się liचे zabudowania gospodarskie, poszedł następnie z dymem dom mieszkalny. Na nic się zdała pomoc sąsiadka, tyle, że nie zajęły się sąsiednie chałupy. Tymiakowie byli zbyt biedni, aby stawić się na nowo. Postąpili jak wielu innych chłopów z bliższej i dalszej okolicy. Widzieli się w tamtych latach nie raz całe gromady chłopów, obarczonych tobołkami, wędrujących do portów bałtyckich a stamtąd do dalekiej Ameryki, gdzie ponoć pieniądze leżały na ulicy. Przewieszali ludzie buty przez ramie i szli na Prusy, zarobić przy żniwach. Wielu osiedlało się na przedmieściach Łodzi, Warszawy, Żyrardowa czy Pabianic, z nadzieją znalezienia pracy w przemyśle.

Tymiakowie trafili szczęśliwie. Zamieszkali u dalekich krewnych w Łodzi, na południowych krańcach miasta, w pobliżu wsi Dąbrowki (dzisiejsze Chojny). Ludzi mieszkało tu niewiele. Rzadko rozrzucone, liხო pobudowane jednorodzinne domki, wyboiste, nieoświetlone ulice. Jesienią i w okresie wiosennych roztopów, ludzie grzebli po kostki w błocie, radzili sobie wykładaniem cegieł, po których częściej skakali aż do głównej ulicy. Domek, w którym zamieszkali Tymiakowie, składał się z czterech izb, szczególnie wypełnionych wszelaką biedotą. Iżby były nawet dość obszerne, jednak tak niskie, że nawet średniego wzrostu człowiek bez trudu dotykał ręką pułapu. Okienka małe, pojedyncze i tak nisko położone, że wydawały się równe z ziemią.

Starsze dzieci Tymiaków zaraz po przybyciu do Łodzi rozpoczęły pracę u Gayera. Pół dnia od 6-jej do 14-jej za 1 rubla 20 kopiejek tygodniowo. Do pracy poszedł 15-letni Jan, 13-letni Antek i 10-letni Olek. Ostatniemu trzeba było podobnie metrykę. U „specjalisty“ przyfabrycznego kosztowało to rubla. Ojciec jako niewykwalifikowany robotnik zarabiał 3 ruble tygodniowo za 12-godzinny dzień pracy.

Życie Tymiaków było bezbarwne. Ciężka, monotonna praca w fabryce, bez żadnych rozrywek kulturalnych, bez możliwości odpoczynku.

Dzieci starsze zapomniały pisać, z czytaniem było coraz gorzej. Po dwóch miesiącach pracowały już na dwie zmiany, a więc 12 godzin dziennie, nie brały zatem książki do ręki, nie czytywały nawet „Gazety Świątecznej“, którą przenieśli sąsiedzi. Do szkoły rządowej chodził jedynie Paweł. Po dwóch latach czytał i pisał biegle w trzech językach — polskim, rosyjskim i niemieckim, znał dobrze rachunki. Ale na tym się też skończyło. W roku 1891 umarła babka, niedługo po niej matka rodziny. Najstarszy Janek ożenił się i wyszedł z domu pomimo protestów ojca. 13-letnia Wanda przejęła wszystkie obowiązki rodzinne. Pawłowi podobno metrykę i poszedł do Gayera na pół dnia do pracy. Ojciec nie był wprawdzie skąpcom, nie pił wódki, ale uważał, że dzieci są po to, aby przynosiły korzyść, aby zarabiały bez względu na wiek. Od czasu opuszczenia rodzinie wszystkie obowiązki rodzinne. Pawłowi podobno metrykę i poszedł do Gayera na pół dnia do pracy. Ojciec nie był wprawdzie skąpcom, nie pił wódki, ale uważał, że dzieci są po to, aby przynosiły korzyść, aby zarabiały bez względu na wiek. Od czasu opuszczenia rodzinie wszystkie obowiązki rodzinne.

Paweł dość ciężko przeżył rozłąkę ze szkołą. Ale od nauki nie odstąpił. Zorganizował u siebie kilkunastoosobowy komplet, składający się z robotniczych dzieci w wieku 10 — 15 lat i przez trzy lata uczył je czytać i pisać po polsku. W tym czasie ojciec dowiedział się o podobnej zmianie w jednej z fabryk. Odtąd Paweł pracował na dwie zmiany. Od 6-jej do 13-jej w jednej fabryce i od 14 do 21-jej w drugiej. O nauczaniu nie mogło być mowy.

Wyzysk wewnątrz rodziny spowodował daleko idące skutki. Starszy od Pawła Antoni coraz częściej popadał w omdlenia przy pracy. Coraz częściej dostawał krwotoków nosowych. Aż wreszcie, terminując u tzw. „starych Francuzów“ na stolarza stracił dwa palce u prawej ręki. Otrzymał odszkodowanie w wysokości 400 rubli i po gwałtownej sprzeczce z ojcem wyjechał do Warszawy, gdzie otworzył własny warsztat stolarski.

Niedługo potem Paweł zapada na ciężką anemię. System fabryczny odbiera mu powoli resztki sił. Wyjeżdża do brata do Warszawy. 8 miesięcy odpoczynku przywraca

mu siły. Terminuje teraz w fabryce Włodarczyka, chce otrzymać dyplom ślusarza. Pracuje 10 godzin dziennie, nocami pomaga bratu w warsztacie przy wykonywaniu zamówień. Warsztat brata był typowym „dodatkiem do fabryki“, pracującym na zlecenie właściciela wielkiej fabryki wyrobów metalowych. W tych warunkach prawdziwym wyzwoleniem od fabryki stała się dla Pawła służba wojskowa. Po blisko czterech latach wraca do Warszawy. Jest już dyplomowanym ślusarzem w fabryce „Ursus“. Nawiązuje kontakty ze swymi dawnymi kolegami, wspólnie spędzają wieczory na studiowaniu broszur i ulotek socjalistycznych.

Nadchodził pamiętny rok 1905. Paweł brał udział we wszystkich manifestacjach i strajkach robotniczych na znak solidarności z petersburskimi współtowarzyszami. Z tego okresu wyniosł wiele doświadczeń politycznych. Przemysłał je dokładnie leżąc pół roku ze znaną na przeszeżłość, aby zdarta została z niej tradycja bezmierności. Aby z pod trudu i walki milionowych mas wyrzucił imienni ludzie, wy-

nowała tu cisza. Po Rewolucji Październikowej objęła Turkestan władza radziecka. Paweł pracował jako główny mechanik w upaństwowionej fabryce bawełny. W 1920 roku rodzina powiększa się o dwoje bliźniąt, ale jedno z nich wkrótce umiera.

W roku 1921 rząd radziecki umożliwił Tymiakowi powrót do kraju. Paweł waha się. Może dostać awans w ulubionym zawodzie. Żona jednak decyduje wyjazd.

2. OJCOWIE

Jest rok 1922. Tymiakowie wrócili do Łodzi. Dawna rodzina rozleciała się po świecie. Mieszkali teraz na poddaszu w maleńkiej izdebce, u dawnych uczniów Pawła. W pokoju stały dwa łóżka. W jednym spalił gospodarze, drugie odstąpił rodzinie Tymiaków. Paweł i Wiśka kładli się na noc na podłozie, Tymiakowa z dwojgiem młodszych miała do dyspozycji łóżko. Był to okres szalonego głodu mieszkaniowego. Przewiezione oszczędności szybko topniały, Paweł przed długi czas nie mógł znaleźć pracy.

Dzieci doznały szczególnego rozczarowania i goryczy. Matka opowiadała im często o pięknej polskiej ojczyźnie, do której mieli wfać. Tymczasem na rodzinie Tymiaków sprawdziły się raz jeszcze słowa z Manifestu Komunistycznego, że w ustroju kapitalistycznym „proletariat nie ma ojczyzny“.

Po długich poszukiwaniach znajdując wreszcie Paweł upragnioną pracę. Został ślusarzem w fabryce maszyn w Rudzie Pabianickiej. Rodzina przeniosła się do Rudy, gdzie znalazła mieszkanie oddalone o 5 km od najbliższego przystanku tramwajowego. Izba ciemna, wilgotna, oddzielona cienką ścianką od dołu kloaczego.

Dom, w którym mieszkali Tymiakowie, postawił pewien przemyślny murarz, żyjący z czynszu. Zakupił plac, postawił sobie dość wygodny dom, w tyle pobudował oficynę dla robotniczych lokatorów. Strychu tam nie było, elektryczność miał także tylko „pan właściciel“. Lokatorowie zmieniali się często, zwłaszcza w okresie kryzysów, kiedy to robotnicza bieda nie mogła opłacić umownego czynszu. W izbie na parterze, gdzie mieszkali Tymiakowie podłoga nie była. Po sąsiedzkim mieszkali chałupnicy, którzy tkali z odpadków wełny rozmaite tkaniny na ręcznych warsztatach. Co jakiś czas pojawiał się skupywacz. Ale nie od razu przychodził do chałupników. Wstępował najpierw do pana gospodarza dowiedziawszy się, jaki jest ich stan materialny. Jeżeli był znośny — nie zawierał transakcji, jeżeli zły — wymuszał bez trudu korzystną cenę.

Paweł nie zarabiał źle, a jednak warunki mieszkaniowe zabijały powoli dzieci. Czteroletnia Ninka zachorowała i mimo rozpaczyliwych prób utrzymania jej przy życiu zmarła po pół roku choroby. Paweł próbował dojść do porozumienia z gospodarzem, starał się o pokój na pieterku, ale cena była zbyt wygórowana. Wyremontował więc pokój po chałupnikach, którzy powędrowali gdzieś w świat szukać chleba, wyrównał klepsisko, pozatykał dziury w ścianach. Mieszkanie było znacznie większe i słoneczne. Z czasem przybyło jeszcze jedno łóżko i mały kredensik.

Fabryka w Rudzie miała być niebawem zlikwidowana. Paweł rozpoczął gorączkowe poszukiwania nowej pracy. Ale robotników wszędzie było pod dostatkiem. Warunkiem przyjęcia był dyplom rzemieślniczy. Papiery, doskonale referencje z Turkestanu odnosiły taki skutek, że patrzone na Pawła podejrzliwie. W roku 1924 wykonywał Tymiak pracę dyplomową. Była to podziwiana przez komisję sprężyna do smarowania łożysk. Paweł otrzymuje papiery cechowe — dyplom mistrza ślusarskiego i rozpoczyna pracę w Łodzi u Pożnańskiego na Ogrodowej ulicy. Każdego dnia nad ranem wychodził odtąd z Rudy piechotą, przemierzał ulicę Piotrkowską, skręcał ku fabryce za placem Wolności i

zamieszczamy poniżej dokumentarny obraz dziejów trzech pokoleń robotniczej rodziny. Czujemy się więc w obowiązku podkreślić wagę tego rodzaju dokumentu i materiału. Znamy historie rodzin średnio i drobniomieszczańskich, upadających w dobie imperializmu. W literaturę burżuazyjną wpisane zostały dzieje mieszczańskich rodzin: etapy nadziei, rozkwitu, prosperity i etapy rozczarowań, upadków, deklacji. Dzieje te z reguły rozwijane były w klasowej izolacji od dziejów proletariatu i chłopstwa. Historię — tak by się mogło wydawać z tych powieści — miał tylko bourgeoisie — grand i petit.

W polskich warunkach proletariatu ma już za sobą szmat historii, wiele pracy industrialnej i walki klasowej. Ma za sobą dzieje uwiecznione zwycięską rewolucją. Pora byłoby sięgnąć w taki sposób w jego przeszłość, aby zdarta została z niej tradycja bezmierności. Aby z pod trudu i walki milionowych mas wyrzucił imienni ludzie, wy-

ginal na 10 godzin za żelazną bramą fabryki.

Lata 1923 — 26 należały do bardzo ciężkich. Ceny artykułów żywnościowych szły bez przerwy w górę. Dzieci Tymiaków piły początkowo herbatę z sacharyną, później jakąś mieszaninę ziołową w miejsce herbaty. Mleko dostawał tylko najmłodszy Sławek, pół litra co dwa dni. 75 proc. budżetu Tymiaków szło na wyżywienie, reszta pochłaniała komorne. Wiśka nie miała zimowego palta, chodziła do szkoły owijana w chustę. Zimą, gdy zasy trudniały swobodną komunikację, kontakty Tymiaków z ludźmi ustawały zupełnie. Dzieci chodziły tylko do szkoły. Paweł opuszczał dom już o 4-tej rano. Wracał wieczorem, był często na zebraniach robotniczych. Wieczorami czytywała matka głośno gazety, albo przyniesioną przez Pawła książkę.

Do dawnego mieszkania Tymiaków, graniczącego z ustępem wprowadziła się w 1926 roku rodzina, składająca się z sześciu osób: matka, cztery córki i syn. Tylko najstarsze córce udało się znaleźć pracę. Pozostałe zajmowały się nierządkiem, matka chodziła „po prośbie“ a chłopak kradł, póki za zabójstwo nie dostał się do więzienia. W tym samym czasie mieszkankie na gorze zajęła rodzina biednego szewca spod Sieradza. W sumie cztery osoby, rodzice i dwoje dzieci. Mebli żadnych nie mieli, spiali na siennikach, żywił się prawie wyłącznie kartoflami, czasem barzechem. Dzieci chorowały na krzywicę kości, nazywaną angielską chorobą. Żona szewca zachodziła często do Tymiakowej, która w miarę możności ratowała biedaków kawalkiem chleba. Po pewnym czasie zaprzyjaźnił się i ojciec. Ale ta przyjaźń miała nie tylko sąsiedzi charakter. Do późnej nocy ciągnęły się gorące dyskusje polityczne, które w okresie kryzysu i bezczynności wypełniały nieraz całe dni. Paweł kilkakrotnie strajkował, był często bez pracy. Czytawł wydawnictwa „Książki“, które ukazywały się w roku 1932 — głównie Lina.

Wraz z kryzysem przyszło do rodziny Tymiaków bezrobocie, za nim głód, za głodem śmierć. Sławek zapadł na ciężką anemię. Organizm wycieńczony ustawicznym niedojadaniem nie mógł zwalczyć choroby. W mieszkaniu było tak wilgotno, że każdego rana pościel wyglądała jak namoczona. Choroba ciągnęła się przez cały okres kryzysu. Z roku na rok Sławek słabł, nie pomagały transfuzje krwi (matka oddawała pokrywemu krew dla dziecka). W 1930 roku zmarło piąte z kolei dziecko Tymiaków. Atmosfera przynębnienia i rezygnacji panowała aż do chwili gdy zauważono, iż Wiśka pluje krwią.

Jedyna córka Tymiaków skończyła szkołę powszechną w 1929 roku. Zorganizowała samorząd szkolny, skłoniła spółdzielczy, samopomoc koleżeńską w nauce. Za jej poradą nauczyciele odwoływali się przy wystawianiu ocen rocznych do przedstawicieli samorządu szkolnego. Tymiakom rosły serca, postanowili córkę kształcić dalej w zawodowej szkole z tym, że zawód wybierze sobie sama. Nie mieli jednak pieniędzy na opłacenie czesnego. Wtedy to matka w tajemnicy przed wszystkimi sprzedała 200 gramów swojej krwi za 75 złotych.

Wiśka wybrała sobie stęperkę. Był to zawód podobno dobrze płatny i rzadki. Ale naprawdę — to chciała zostać nauczycielką. Weta-wiała co rano o godzinie 5-jej, chodziła do szkoły piechotą. Na śniadanie zjadła po kryjomu kawalek suchego chleba. Po śmierci brata zrezygnowała ze szkoły zawodowej. Uczyła syna bogatego rzemieślnika. Za zarobione pieniądze kupowała podręczniki. Zdobyła program czwartej klasy gimnazjalnej, przygotowywała się intensywnie przez wakacje i wczesną jesienią zdała do 5-jej klasy gimn. Szczęśliwiej w Łodzi. Nauka w gimnazjum nie trwała jednak długo. Gwałtowna choroba zaatakowała słabe płuca. Wilgotne mieszkanie,

suchy chleb, ciężkie lata kryzysu zrobiły swoje. Paweł wychodził teraz ze skóry. Pracuje kilkanaście godzin na dobę. Po pracy w fabryce, instaluje elektryczność po domach, reperuje korki, chwytą się każdej okazji zarobku. Tymiakowa dostaje szczęśliwie pracę jako ekspedientka w sklepie kolonialnym. Rodzice walczą teraz o życie jedynej córki. Ten niewątpliwie szalony zryw rodziców powiódł się. W cichej uliczce odchodzącej w bok od szosy pabianickiej, znaczącej bliżej Łodzi udaje się Tymiakom znaleźć po 10-ciu latach pracy w wolnej Polsce suche i słoneczne mieszkanie. Córka przestała kasłać, stała gorączka przemijała. Paweł wszedł bardzo szybko w nowe, czyste robotnicze środowisko. Reperował wokół instalacje elektryczne, studnie, zamki u drzwi. Zchodzili się w Tymiaków koledzy robotnicy, dyskutowali na rozmaite tematy. Jeden z nich przewijał się najczęściej: wojna domowa w Hiszpanii i wzrost potęgi faszyzmu. Paweł czytał teraz znacznie więcej, staranniej przemyślał poznana literaturę. Nie zdobył wykształcenia, nie miał na to warunków. Postanowił jednak wspólnie z żoną, że wykształca należycie dzieci. Najmłodszy Michał, grał pięknie na skrzypcach, malował akwarelę i pragnął, podobnie jak siostra pracować nad młodymi pokoleniami robotniczymi. Chciał także być nauczycielem. Przenikli jednak Tymiakowie swoje siły. Michał musiał przerwać naukę w siódmej klasie, nie chodziła do szkoły Wiśka. Brakowało pieniędzy na opłacenie taksy administracyjnej. Obje usiłowali znaleźć pracę. Składali dziesiątki podań w różnych urzędach. Tylko Wiśce udało się pracować przez kilka miesięcy w sklepie galanterijnym. Wolne chwile poświęcała nauce, pragnęła dobić do matury. W roku 1937-38 zdała pomyślnie do ostatniej klasy gimnazjum, chodziła jednak do szkoły zaledwie kilka tygodni. Powróciła choroba, rozwinęła się w gruźlicę kregostupa i tylko natychmiastowa operacja mogła ją uratować. Zapożyczali się Tymiakowie u ludzi. Operacja udała się. Córkę uratowano.

REDAKCJA



nie narady dzielnicowego koła lewicy PPS. Paweł poznaje w tym okresie bliżej ruch robotniczy, czyta coraz więcej mimo choroby oczu — „egipskie ślepoty“. W tym też czasie żeni się z siostrą Jacka. Żona Pawła pracowała jako modniarka na „skupywacza“. Jej prace wędrowały przy pomocy pośrednika do słynnego w Warszawie — Hersego.

Na arenie dziejów kapitalizmu rosyjskiego następują dalsze przemiany. Następuje wzrost przemysłu rosyjskiego. Kapitały z Zachodu, zwłaszcza francuskie płynęły nieprzerwanie do Rosji w nadziei wielkiego i szybkiego zysku. Działy tu także i polityczne czynniki. Związanie trójprzymierza Anglii, Francji i Rosji przeciwko imperializmowi niemieckiemu, zwracającemu się ku Wschodowi, postawiło przed Rosją zadanie szybkiego uprzemysłowienia. Stąd też napływ zachodnich kapitałów. „Rozkwit gospodarstwa rosyjskiego — pisze Kula — był tak żywy, że zaczął nabierać siły atrakcyjnej w stosunku do polskich elementów fachowych, tak bardzo Rosji po trzebnych, więc sowiecie wynagradzanych“.

Czasopisma warszawskie zamieszczały liczne ogłoszenia i oferty na dobre płatne prace w Rosji. Po przeczytaniu jednego z tych ogłoszeń nabrał Paweł ochoty na wyjazd. Palła mu się w kraju ziemia pod nogami, był zmęczony ciężką walką o należyty zarobek, ciekawość go ponadto dalekie kraje. Odbył więc w 1909 roku daleką podróż do Turkestanu. W rok później ścignął tam całą rodzinę — żonę i dwoje dzieci. Zamieszkali w Kokandzie. Paweł pracował w jednej z fabryk bawełnianego przemysłu. Zarabiał dużo — około 50 rubli miesięcznie.

Rodzina Tymiaków powodziło się dobrze. Paweł uchodził w oczach Sartów za prawdziwego dobroczyńcę. Reperował im bezinteresownie kłamki, klódki, instalował oświetlenie, opracował cały system nawadniania pól. Z kolonii polską, liczącą 120 osób stosunków nie utrzymywali. Raziła go atmosfera „wyższości“ wobec biednych Sartów, którą rozczęcała polska „arystokracja“ robotnicza, majstro-wo zbratani z buchalterami. Tymiakowie współżyli głównie z ludnością tubylczą, ale nie zatruli poczucia przynależności narodowej. Prenumerowali gazety krajowe, czytali je nieraz po kilka razy.

Dzieci nie chowały się dobrze. Troje z nich pochowano w dalekim Turkestanie. Pozostała dwojka — Wiśka i Michał urodzeni już w Kokandzie — rośla pomyślnie.

Pierwsza wojna światowa nie odbiła się na życiu Tymiaków. Pa-

ginal na 10 godzin za żelazną bramą fabryki.

Lata 1923 — 26 należały do bardzo ciężkich. Ceny artykułów żywnościowych szły bez przerwy w górę. Dzieci Tymiaków piły początkowo herbatę z sacharyną, później jakąś mieszaninę ziołową w miejsce herbaty. Mleko dostawał tylko najmłodszy Sławek, pół litra co dwa dni. 75 proc. budżetu Tymiaków szło na wyżywienie, reszta pochłaniała komorne. Wiśka nie miała zimowego palta, chodziła do szkoły owijana w chustę. Zimą, gdy zasy trudniały swobodną komunikację, kontakty Tymiaków z ludźmi ustawały zupełnie. Dzieci chodziły tylko do szkoły. Paweł opuszczał dom już o 4-tej rano. Wracał wieczorem, był często na zebraniach robotniczych. Wieczorami czytywała matka głośno gazety, albo przyniesioną przez Pawła książkę.

Do dawnego mieszkania Tymiaków, graniczącego z ustępem wprowadziła się w 1926 roku rodzina, składająca się z sześciu osób: matka, cztery córki i syn. Tylko najstarsze córce udało się znaleźć pracę. Pozostałe zajmowały się nierządkiem, matka chodziła „po prośbie“ a chłopak kradł, póki za zabójstwo nie dostał się do więzienia. W tym samym czasie mieszkankie na gorze zajęła rodzina biednego szewca spod Sieradza. W sumie cztery osoby, rodzice i dwoje dzieci. Mebli żadnych nie mieli, spiali na siennikach, żywił się prawie wyłącznie kartoflami, czasem barzechem. Dzieci chorowały na krzywicę kości, nazywaną angielską chorobą. Żona szewca zachodziła często do Tymiakowej, która w miarę możności ratowała biedaków kawalkiem chleba. Po pewnym czasie zaprzyjaźnił się i ojciec. Ale ta przyjaźń miała nie tylko sąsiedzi charakter. Do późnej nocy ciągnęły się gorące dyskusje polityczne, które w okresie kryzysu i bezczynności wypełniały nieraz całe dni. Paweł kilkakrotnie strajkował, był często bez pracy. Czytawł wydawnictwa „Książki“, które ukazywały się w roku 1932 — głównie Lina.

Wraz z kryzysem przyszło do rodziny Tymiaków bezrobocie, za nim głód, za głodem śmierć. Sławek zapadł na ciężką anemię. Organizm wycieńczony ustawicznym niedojadaniem nie mógł zwalczyć choroby. W mieszkaniu było tak wilgotno, że każdego rana pościel wyglądała jak namoczona. Choroba ciągnęła się przez cały okres kryzysu. Z roku na rok Sławek słabł, nie pomagały transfuzje krwi (matka oddawała pokrywemu krew dla dziecka). W 1930 roku zmarło piąte z kolei dziecko Tymiaków. Atmosfera przynębnienia i rezygnacji panowała aż do chwili gdy zauważono, iż Wiśka pluje krwią.

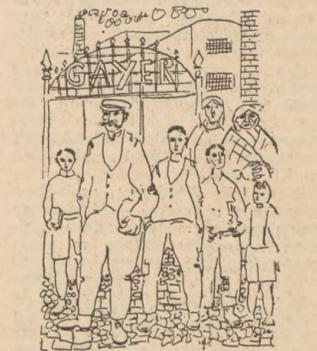
Jedyna córka Tymiaków skończyła szkołę powszechną w 1929 roku. Zorganizowała samorząd szkolny, skłoniła spółdzielczy, samopomoc koleżeńską w nauce. Za jej poradą nauczyciele odwoływali się przy wystawianiu ocen rocznych do przedstawicieli samorządu szkolnego. Tymiakom rosły serca, postanowili córkę kształcić dalej w zawodowej szkole z tym, że zawód wybierze sobie sama. Nie mieli jednak pieniędzy na opłacenie czesnego. Wtedy to matka w tajemnicy przed wszystkimi sprzedała 200 gramów swojej krwi za 75 złotych.

Wiśka wybrała sobie stęperkę. Był to zawód podobno dobrze płatny i rzadki. Ale naprawdę — to chciała zostać nauczycielką. Weta-wiała co rano o godzinie 5-jej, chodziła do szkoły piechotą. Na śniadanie zjadła po kryjomu kawalek suchego chleba. Po śmierci brata zrezygnowała ze szkoły zawodowej. Uczyła syna bogatego rzemieślnika. Za zarobione pieniądze kupowała podręczniki. Zdobyła program czwartej klasy gimnazjalnej, przygotowywała się intensywnie przez wakacje i wczesną jesienią zdała do 5-jej klasy gimn. Szczęśliwiej w Łodzi. Nauka w gimnazjum nie trwała jednak długo. Gwałtowna choroba zaatakowała słabe płuca. Wilgotne mieszkanie,

suchy chleb, ciężkie lata kryzysu zrobiły swoje. Paweł wychodził teraz ze skóry. Pracuje kilkanaście godzin na dobę. Po pracy w fabryce, instaluje elektryczność po domach, reperuje korki, chwytą się każdej okazji zarobku. Tymiakowa dostaje szczęśliwie pracę jako ekspedientka w sklepie kolonialnym. Rodzice walczą teraz o życie jedynej córki. Ten niewątpliwie szalony zryw rodziców powiódł się. W cichej uliczce odchodzącej w bok od szosy pabianickiej, znaczącej bliżej Łodzi udaje się Tymiakom znaleźć po 10-ciu latach pracy w wolnej Polsce suche i słoneczne mieszkanie. Córka przestała kasłać, stała gorączka przemijała. Paweł wszedł bardzo szybko w nowe, czyste robotnicze środowisko. Reperował wokół instalacje elektryczne, studnie, zamki u drzwi. Zchodzili się w Tymiaków koledzy robotnicy, dyskutowali na rozmaite tematy. Jeden z nich przewijał się najczęściej: wojna domowa w Hiszpanii i wzrost potęgi faszyzmu. Paweł czytał teraz znacznie więcej, staranniej przemyślał poznana literaturę. Nie zdobył wykształcenia, nie miał na to warunków. Postanowił jednak wspólnie z żoną, że wykształca należycie dzieci. Najmłodszy Michał, grał pięknie na skrzypcach, malował akwarelę i pragnął, podobnie jak siostra pracować nad młodymi pokoleniami robotniczymi. Chciał także być nauczycielem. Przenikli jednak Tymiakowie swoje siły. Michał musiał przerwać naukę w siódmej klasie, nie chodziła do szkoły Wiśka. Brakowało pieniędzy na opłacenie taksy administracyjnej. Obje usiłowali znaleźć pracę. Składali dziesiątki podań w różnych urzędach. Tylko Wiśce udało się pracować przez kilka miesięcy w sklepie galanterijnym. Wolne chwile poświęcała nauce, pragnęła dobić do matury. W roku 1937-38 zdała pomyślnie do ostatniej klasy gimnazjum, chodziła jednak do szkoły zaledwie kilka tygodni. Powróciła choroba, rozwinęła się w gruźlicę kregostupa i tylko natychmiastowa operacja mogła ją uratować. Zapożyczali się Tymiakowie u ludzi. Operacja udała się. Córkę uratowano.

## 3. DZIECI

Lata między rokiem 1930 — 1939 nie były dla Tymiaków pomyślne. Tyle może, że zmienił mieszkanie na lepsze. Nad rodziną wisiała z roku na rok groźba śmierci. Wiśka uszła ledwo z życiem przed gruźlicą. Tymiakowa zapadła na długotrwałe zapalenie stawów, Paweł spadł z drabiny w fabryce, potłukł się dotkliwie i złamał rękę, leżał przez dłuższy czas w szpitalu. Jeden Michał trzymał się dobrze. Nie znalazł wprawdzie pracy przez kilka lat, sprządał jednak od czasu do czasu obrazki, uczył się z myślą o złożeniu egzaminu maturalnego. W 1939 roku wybuchła wojna, która pokrzyżowała plany i nadzieje Tymiaków. Pawła przesiedlono do gorszego mieszkania na Chojnach, jesienią wrócił z wojska Michał. Wiśkę wysłano na wieś, pod Piotrków, gdzie prowadziła tajne nauczanie. W listopadzie ruszyli



Paweł i Michał do pracy. Ojciec pracował nadal jako ślusarz, syn trudnił się murarką. W połowie 1940 roku wraca zadenujcowana Wiśka, rozpoczyna tajne nauczanie dzieci robotniczych na Chojnach. Kompletów było kilka, nauka trwała niemal cały dzień. W roku następnym przesiedlono Tymiaków jeszcze raz. Znowu znaleźli się w podobnych warunkach jak przed przeszło 15-tu laty, kiedy to z dalekiego Turkestanu przybyli do ojczyzny. Pokoik mały, bez mebli (Tymiakom zabrano meble), podłoga kamienna. Uczniowie Wiśki znoszą z domów krzesła, stare łóżka, miednice i w ten sposób rodzina zaopatrzyła się w najniezbędniejsze rzeczy. Michałowi groziło wywiezienie na roboty do Niemiec. Został pod warunkiem, że będzie pracował na Widzewie. Widzewska fabryka nazywana w tych latach „wykalczalnią“. Rzadko kto mógł przetrzymać ciężką pracę. W oddziałach, gdzie wyrabiano t.zw. „niskoż“ ludzie po dwóch latach pracy w fabryce, przy analizie bezbarwnych i bezwonnym gazów. Okazało się przy tym, że ma oba płuca zajęte. W 1945 roku zmarł ostatni syn Tymiaków. W czasie jego choroby Paweł pracował również na Widzewie. Chciał zrobić możliwie najwięcej, aby uratować

syna. Przekonał się jednak po raz szósty w życiu, że kapitalizm prowadzi zawsze do wyniszczenia żywych sił ludu.

Córka wypożyczyła za 10 marek tygodniowo maszynę do szycia, aby dorobić na leczenie brata. Za tajne nauczania nie pobierała żadnej opłaty. Szyła suknie, koszule męskie, ubrania a nawet płaszcze zimowe. Paweł starym zwyczajem lutował ludziom miski, reperował zamki u drzwi, instalował przewody elektryczne, za co otrzymywał od czasu do czasu kilka marek. Robotnicy z Chojn otaczali go szacunkiem, chłonili nieraz niemielowaną Wiśkę przed Japankami.

W mieszkaniu Tymiaków zawsze było gwarno. Schodzili się tu grupki młodych ludzi. Dyskutowano nad przyszłym ustrojem Polski. Wiedzieli, że wolność nadchodzi ze Wschodu. Odbijały się wspólnie czytania lewicowej prasy podziemnej.

Wiśce o wyzwoleniu Łodzi przyniósł pierwszy Paweł, który witał wraz z innymi robotnikami wkraczającą wojska radzieckie. Stał prawie cały dzień przy ul. Dąbrowskiej, powrócił rozradowany, ochrypły od krzyku.

Tymiakowie przeprowadzili się do wygodniejszego mieszkania. Wiśka wstępuje do rocznej Szkoły Świątecznej TUR-u, chce pracować na polu kulturalno — oświatowym, właśnie w świetlicach dzieci robotniczych. Spotyka tu grupę postępowych profesorów Uniwersytetu Łódzkiego, którzy namawiają ją do dalszej nauki. Wtedy przejął się ostatecznie Paweł, przynębniony stratą ostatniego syna. Stary Tymiak zgłosił się mimo podeszłego wieku do jednej z fabryk jako ślusarz. Zakłady były zupełnie zdezwastowane. W warsztatach znalazł Paweł jeden pilnik, jeden nóż i to wszystko. Wraz z innymi kolegami urządził powoli warsztatownie. Do domu wracał późnym wieczorem, chociaż zgodnie z umową miał pracować tylko 8 godzin. Obchodził wszystkie sklepy, przeglądał uważnie kramiki z żelazem na rynkach, szukał wszędzie odpowiednich narzędzi, spawał poszczególne elementy w całość, toczył nowe narzędzia. Przychodził do pracy pierwszy, wychodził ostatni. Kierownictwo fabryki powierzyło mu funkcję narzędnikownika. Odtąd wydawał Paweł i odbierał potrzebne przy pracy narzędzia, reperował zepsute, sprządał nowe. Stary Tymiak odmówił. Obstawiał specjalne półki i szafy na narzędzia, podorabiał klucze do wszystkich niemal drzwi w fabryce, ponumerował narzędzia. W oknach warsztatu zakwitły przedostatnie wiosny kwiaty: astry, gwoździki, bratki, groszek...

Jeszcze w 1946 roku oświadczył Tymiak córce, że powinna zapisać się na Uniwersytet. I oto ostatnie dziecko Tymiaków rozpoczyna studia. Na jeden rok zepada ponownie na zdrowiu. Mszcza się dnie spędzane przy maszynie do szycia. Troskliwa opieka lekarska przewycięza ostatecznie chorobę. Wiśka powzięła w ostatnim roku akademickim 30 godzin tygodniowo Uniwersytetowi. Ocrobiła wszystkie ćwiczenia, zdała 6 egzaminów magisterskich. Jest aktywnym członkiem ZAMP-u. Niemal co tydzień słuchają robotnicy łódzcy odczyty ostatniej córki Tymiaków. Kilkudziesięciu analfabetów robotniczych zawdzięcza jej umiejętność czytania i pisania. Życie Tymiaków wraca do normy. Paweł został przewodnikiem pracy. On jeden z całej załogi warsztatów, 70-cio letni człowiek, wyrabia ponad 140 proc. normy. Mimo, iż pełni odpowiedzialną i absorbującą funkcję narzędnikownika, dyrektora powierza mu często nadprogramowe roboty, które chętnie podejmuje. I tak w dniach Stalinowskich zwrócono się do Pawła, aby odczytał mój piłą robotę i zabrał się do wykonania pewnej niezbędnej dla produkcji formy. Koleczy już od trzech tygodni meczyli się nad ich sporządzeniem. Stary Tymiak niewiele godzin w ciągu dnia mógł poświęcić tej pracy. Został na kilka godzin po pracy, wzmagał jej tempo, wywijając resztkę ślusarzy do współzawodnictwa. Po tygodniu forma była gotowa. Nie długo potem poproszono Pawła o następną, jeszcze bardziej skomplikowaną formę. Wykonał ją tak szybko, iż powszechnie sądzono, że jest to forma sprowadzona z zagranicy. Nie chciano wierzyć, by nasz robotnik mógł ręcznie w tak precyzyjny sposób pracować. Któregoś dnia, niedawno temu przyszedł do domu wzruszony Tymiak i oświadczył, że wybrano go do Rady Zakładowej.

Mieszkanie Tymiaków tonie w kwiatkach. Żona, przeszło 60-letnia kobieta zajmując się gospodarstwem. Czyta regularnie prasę codzienną, tygodnik i niektóre miesięczniki. Czerwonym ołówkiem zakreśla Pawłowi ważniejsze artykuły. Gdy wraca zmęczony czyta mu je sama. Cicho i spokojnie jest teraz u Tymiaków. Po południu wraca po pracy z analfabetami Wiśka. Wieczorami przygotowuje ostatnie egzaminy. Jesienią ruszy do dalszej pracy z dyplomem uniwersyteckim.

IRENA KOZŁOWSKA

W pokoju, zasnutym siłą mgiełką dymu od papierosów, siedział przy stole sześciu mężczyzn. Wszyscy, już trochę podpieli, w dobrych humorach, rozprawiali głośno, śmiejąc się i starając się przekrzyknąć jeden drugiego.

Z wejściem Bronki i Walnego gwar przycichł.

Łukasz Samoliński, otępiły średniego wzrostu, w kurcie wojskowej koloru khaki z guzikami z ciemnobrązowej skóry, wstał od stołu. Różowa, świeża cera jego tułej pełnej twarzy harmonizowała ze srebrną siwizną włosów, sterzących wysoko czubem nad niskim, wypukłym czołem.

— Cieszę się, że pamiętałeś o moich imieninach — rzekł obejmując siostrzeńca krótkimi, grubymi rękami. — Ale skąd się tu, u Boga — Ojca, wzięłeś?... Broniu zwrócił się do córki — a nie zapomnij o obiedzie dla Stefana.

Ująwszy go pod rękę przedstawił swym gościom wymieniacząc przede wszystkim ich nazwiska i tytuły:

— Naczelnik oddziału tymczasowego Zarządu Państwowego w Gdańsku.

Naczelnik miał mefistofelczną twarz, haczykowaną nos, wypomadowane włosy czarne jak skrzydło krukka i żółto zabarwione białka oczu.

— Przewodniczący naszej Rady Gminnej w Babimostku.

Wójt, monstrualny grubas, sapął i wycierał raz no raz chustką spoczną czerwoną linsę.

— Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej.

Przesz dwuchnął w sumiaste wazy i groźnie stroszył krzaczaste brwi.

O czwartym gościu o ponurym wyglądzie z opuszczoną powieką lewego oka Samoliński powiedział krótko:

— Mój sąsiad, Pancylusz.

Zas piętego piękniśa z ufrzyzowanymi włosami, przedstawił jako sekretarza Gminy.

Po tej prezentacji Walny zorientował się, że i tutaj, podobnie jak w Gnojnie, wuj ma najważniejsze szyszki z Gminy „w kieszeni”.

Wychylił kieliszki. Naczelnik jak po wypiciu młskury wykrzywił ciekro twarz i przekąsił kawałkiem placaka domowego wypieku.

— Wartoby trochę zażyć świeżego powietrza — zaproponował spocznym wójt — i wyjść na spacer, obejrzeć te samochody.

— A ja jeszcze przedtem — wrzasnął podochocny Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej — wznoszę toast za zdrowie Mikolajczyka!

— Na Boga Ojca, panowie — przerwał Samoliński — proszę was, tylko bez polityki! Niech każdy pracą i staraniem przyłoży swoją cegiełkę do odbudowy ojczyzny, byle bez polityki. Zgoda buduje, nienawiść rujnuje. Czy nie mam racji, panie naczelniku?

— Wszyscy tu myślimy jednakowo — mruknął ponury Pancylusz. — No to chodźmy, panowie, na spacer! — zaproponował chociaż sekretarz Gminy.

Goście wstali od stołu z głośnym szurgotem odsuwanych krzesel.

— Skończył obiad? — zatorczył się Samoliński o siostrzeńca. Wychodził za gośćmi, którzy już byli w podwórzu, ale na progu gospodarz przypomniał sobie jeszcze o czymś i wrócił do kuchni. — Broniu, pamiętam, że było tu gdzieś po Niemcu kawałek kredy.

Bronka zaczęła szperać w szufladzie, wyciągnęła z białego, kuchennego kredensu.

Gdy Samoliński wyszedł wreszcie na podwórze, goście jego oddalili się już od domu spory kawałek drzgi.

Ująwszy siostrzeńca pod ramię i podążając za gośćmi wuj zaczął wtajemniczać go w swoje sprawy. — Z tymi samochodami widzisz, to jest tak... W czasie wojny bolszewicy rozbili tu, w naszych stronach kolumnę samochodową z dywizji pancerniej Goeringa... Leża tu różne gruchoty, ale są też maszyny, które wystarczy tylko tak to się mówi „podpuścić”, che, che, che! A najważniejsze proszę ciębie, to to, że jest wśród tego szmelcu autobus osobowy, pierwsza klasa, który Niemcy zarekwirowali o wiele w Gdańsku dla celów wojskowych.

Samoliński zniżył głos: — Zarząd Tymczasowy pójdzie nam na rękę i sprzeda te maszyny za marne grosze. Będzie niezły zarobek, szczególnie na tym autobusie, który miasto odkupi od nas za każdą cenę, bo mu potrzebny tabor. Ciesz się, że przyjechałeś. Pomożesz mi załatwić tę sprawę w Gdańsku, bo ja nie mogę się stać ruszyć, muszę pilnować gospodarstwa.

Walny zmarszczył czoło. — Nie znam się na samochodach. — To się poznasz. To żadna filozofia.

Idący przed nimi zatrzymali się na polu, w miejscu, gdzie stało kilkanaście wojskowych ciężarówek i szaroniebieskie samochody wojskowe bez opon. Miejsce to otoczono było drutem kolczastym, rozciągniętym na palikach.

— Wszystko to moja praca — pochwalił się Samoliński głośno, tak, żeby go słyszeli jego goście, do których zbliżał się z siostrzeńcem. — Kazalem to wszystko ogrodzić — mówił stając przy naczelniku. — Ludzie ze wsi wiedzą, że te samochody na polu Samolińskiego są pod opieką Samolińskiego. A dla pewności kazalem podejrzewać opony i złożyć u mnie w szopie. Wszystko spisane, nie brakuje ani jednej. Można powiedzieć, że Samoliński zabezpieczył majątek rządowy. Należy mu się za to nagroda, che, che, che!

Goście odpowiedzieli wesółm potakaniem.

## WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# Z I E M I A W Y

Tylko naczelnik Tymczasowego Zarządu Państwowego milczał enigmatycznie. Był lub udawał, że jest zamysłony, i w zamyszeniu rozglądał się po zalanej okolicy. Woda podpywała tutaj blisko, prawie pod piasty koł samochodów.

W odległości mniej więcej jednego kilometra widać było otoczoną morzem rozlewką wysypkę z budynkami pompy parowej, do której



prowadził wynurzający się z wody grzbiet waju ochronnego, ciągnącego się od pompy aż pod zabudowania gospodarze Samolińskie.

— Każden z nas już sobie tu coś upatrzył — ciągnął jowialnie Samoliński, niezrażony milczeniem naczelnika.

— Ja sobie ustrzelełem tego dzika — mówił z humorem pokazując na wielki, czerwono-biały autobus. — I żeby mi nikt nie zabrał, to go sobie naznaczę.

Schyliwszy się przelazł pod drutem do autobusu wyjął z kieszeni ułomek kredy i wypisał na czerwonej ścianie wozu wielkimi literami: Samoliński.

Sekretarz Gminy, Wójt i Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej spojrzeli po sobie, po czym wszyscy trzej wybuchli hataśliwym śmiechem i wszyscy trzej naraz wyciągnęli do Samolińskiego ręce po kredę.

— Moment przełomowy w naszych pracach — informował nowozainstalowanego fachowca w dziedzinie budowy dróg lądowych i wodnych, inżyniera Walickiego, naczelnik Wydziału Wodno-Melioracyjnego — osiągnęliśmy już w tym roku.

Na biurku stał kalendarz na rok 1946 z odsłoniętą kartką pierwszego tygodnia kwietnia.

Na ścianie za biurkiem wisiały dwie karty geograficzne, jedna — będąca odrysem historycznej mapy Zula w 1300 roku i druga — nowoczesna mapa delty Wisły i Nogat, dzielących Zula w 3 części: Gdańskie na lewym brzegu Wisły, Wielkie — w ramięch Wisły i Nogat, i Elbląskie — na prawym brzegu Nogat.

Naczelnik Wydziału wstał od biurka i położył rękę na odrysie historycznej mapy z 1300 roku. — Jak panu inżynierowi zapewne wiadomo, sprowadzeni w 1288 roku koloniści niemieccy nie potrafili obronić niziny Gdańskiej przed zalawami. Dopiero Holendrzy przy pomocy odwadniającego drewnianych wtraków częściowo osuszyli zalane tereny. Z biegiem czasu wiatraki zostały zastąpione przez zespoły nowoczesnych pomp. Po zniszczeniach, dokonanych przez Niemców, stan Zula był taki, jak za czasów kolonistów holenderskich w XII wieku.

Naczelnik Wydziału zasiadł z powrotem w fotelu. — Musieliśmy sobie powiedzieć otwarcie i spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy: zryte okopami i bunkrami wały powodziowe straciły swą wytrzymałość, a istniejące rozkopki groziły całej dolinie i Gdańskowi dalszym zalewem. Groźba powodzi zmusiła nas do przeprowadzenia napraw wałów wolderowych i uruchomienia pewnej ilości pomp przed wiosną 1946 roku. I to pierwsze zadanie zostało wykonane.

Nowozainstalowany inżynier ujął w garść klin siwej brody.

— Powinszować! — mruknął.

— Nie lada sztuka — odwalił taką robotę w ciągu jednego roku. Trzeci uczestnik konferencji, technik Anteki uśmiechnął się nieznacznie. Mrużąc oczy patrzył, zamysłony, gdzieś daleko w ulicę. Za szybą, w świetle zachodzącego słońca czerwienią się góły mury burzonych kamienic z czarnymi otworami wypalonych okien.

— Obecnie — informował naczelnik — stoimy przed drugim, szturmowym zadaniem. Plan rządowy przewiduje odwodnienie i osuszenie Zula w ciągu trzech lat, do stycznia 1949 roku. Jest również życzeniem Partii, aby zadanie zostało wykonane w terminie.

W ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, dał się słyszeć trzask zamkniętej energicznie przez Walickiego papierosnicy. — To nad czym kilka pokoleń pracowało w ciągu sześciu stuleci, chcecie zrobić w ciągu trzech lat?

— Rozporządźmy środkami — relikwował naczelnik Wydziału — jakimi nie rozporządzali nasi poprzednicy.

— Ale stoimy wobec błędnego koła — upierał się inżynier — jakiego oni nie mieli do rozwiązania:

Nie możemy uruchomić pomp bez doprowadzenia prądu i odwodnienia terenu. A jak instalować linię i doprowadzić prąd, skoro przewody są zerwane? Czy będziemy stawiali maszyny do linii wysokiego napięcia w wodzie?

— Właśnie tak je stawiamy — odparł Anteki. — W wodzie, panie inżynierze!

Walicki uśmiechnął się pobłaźliwie. — Drogi kolego, bardzo to piękne, co mówicie, ale trzeba liczyć się z rzeczywistością. Oprócz tego zagadnienia są jeszcze poważne trudności innej natury: brak wam ludzi, brak materiału technicznego.

Potarłszy bezskutecznie raz i drugi zapalkę o brzeg pudełka, rzucił zapalkę do popielniczki. — Schumacher, znany socjaldemokrata niemiecki, powiedział niedawno, że my, Polacy, nie odwołujemy Zula wcześniej niż za 50 lat. Grubo przesadził, ale powiedzmy sobie, że 10 lat musi to potrwać!

Anteki zmrużył oczy, jakby kryjąc blysk gniewu. — Nasi ludzie w terenie — rzucił zapalczywie — znają to powiedzenie i śmieją się z Schumachera. Utało się nawet, że do różnych markierantów i rozbiłczych pracy, bo i tacy trafiają się, niestety, wołają: „Te Schumacher!”

Inżynier zapalił wreszcie papierosa i zdmuchnął nieco zbyt gwałtownie płomyk zapalki.

— Jutro w terenie z kolegą Antekim — ratował sytuację naczelnik

Wydziału — przekona się pan, panie inżynierze, z jaką ofiarnością i jak wspaniale pracują tam nasi ludzie, monterzy, elektrotechnicy i zwykli, prości robotnicy. Może wtedy uwierzy pan, że plan rządowy jest realny.

Walicki ścisnął brodę w garści. — No cóż, zobaczymy!

\*\*\*

Z przyczepki przy motocyklu obserwował Walicki tereny, rozciągające się na północ i południe od szosy. Były to nieogarnione bezleśne obszary, wolne i otwarte aż do widnokręgu, nizina monotonna i płaska jak stół, pokrajana wszędy i wszędź wąskimi rowami odpływowymi i kanałami odwadniającymi.

W bładym słońcu wiosennym płowe burzawy chwałstów, wysłych po odwodnieniu, falowały na wietrze jak łany dojrzałych zbóż.

Anteki, prowadzący motocykl, odjął rękę od kierownicy i zatoczył szeroki łuk. — Wszystkie to odwodniliśmy w październiku, listopada, dojeżdżamy do Piławy, tam już zaczyna się woda.

Inżynier spojrzął na swą rozpostartą na kolanach mapkę, trzepocącą mu pod rękami jak ptak.

— Piława! — rzekł Anteki wskazując w kierunku północnym, gdzie srebrzyło się w słońcu rozlewkę niby wielkie jezioro o dalekich, niedostrzegalnych brzegach.

Stacja pomp za zakrętem, z lewej strony szosy, parterowy bu-

dynek z wieżyczką dla transformatora, wyrosła nagle w polu widzenia i powiększała się szybko jak na zbliżeniu filmowym.

Z prawej strony woda na polach podchodziła pod burte szosy. Opadał, na rozlewkach widać było zakotwiczone czołna, tratwy i pontony, a na nich i obok nich ludzie, zanurzeni do pasa w wodzie. Ludzie ci trudzili się nad wznoszeniem obalonych słupów do linii wysokiego napięcia.

Anteki zgasił motor. — Hallo, kolego Walny — zawołał.



Od trawaty odbiła łódź z dwoma ludźmi i popłynęła w kierunku szosy.

Walicki przyglądał się z przyczepki pracy ludzi na rozlewkach. Między dwa pale, białe kafarami jeden blisko drugiego w grunt pod wodą, robotnicy wsuwali i przykręcali do nich słupami wysoki słup. Właśnie w tej chwili, pomagając sobie choralnym krzykiem, wznosili na sznurach słup ze zwojem drutów. Inżynier oceniał trud i moźół ludzi przy tej pracy. Woda im przeszkadzała, wiatr psuł robotę, zrywał i płał przewody.

Walny wylądował na szosie i podszedł do motocykla. Czarną, skórzaną kurtkę, spodnie i gumowe buty z cholewami miał zmoczone wodą — jak po rześkim deszczu. — To nasz nowy inżynier — zapoznał Anteki koleżę z Walickim. — Jak stoicie z robotą?

Walny odwrócił się w stronę pracujących w wodzie. — A no, jak widzieli! — wskazał ręką na ludzi, podnoszących słup. — Pojutrze dołączymy linię do stacji.

Wszyscy trzej odwrócili się teraz w przeciwną stronę, za szosę, gdzie na nieznanym wzniesieniu gruntu stał budynek stacji.

— Przyslijcie nam tylko wirnik z tych pierońskich warsztatów i puście prąd, a pojutrze — zapewnię Walny — uruchomimy pompę.

— Wirnik będzie jutro — odrzekł Anteki. — A prąd można puścić choćby zaraz. Co jeszcze?

## ZOFIA RZEPLIŃSKA

# U M A R L I P O Z O

W roku bieżącym zostały dostępnione polskiemu czytelnikowi dwa dzieła historiograficzne niemieckich pisarzy, z których każde stanowi próbę generalnego rozrachunku z przeszłością i odsłonięcia klasowych sprzecznych mechanizmów historii Niemiec. Dzieła te to Alberta Nordena: „Czego nas uczą dzieje Niemiec” i Aleksandra Abusch: „Naród na manowcach”. Już tytuły znamienne są dla funkcji tych rozpraw. Dzieje Niemiec zostały tu poddane laboratoryjnej analizie. Rozłożono je na elementy, zbadano skład wewnętrzny każdego z nich z osobna po to, aby odrzucić skompromitowane po wielokroć w świetle hi-



Anna Seghers

storii narodów stare formuły, mity o przeznaczeniu dziejowym Niemiec, o „jednostkach demonicznych” i stworzył wzory znakowań nowe, uwarunkowane klasowym wiedzeniem rzeczywistości. Na tle tego nowego ujęcia z jaskrawą wyrazistością wyodrębniły się czynniki, pchające „narod na manowce”, jak również te, które walczą o postęp stanowiący ich przeciwwagę. Dlaczego siły reakcji trwały wciąż w zwycięskiej ofensywie która doprowadziła do faszyzmu, dlaczego wyzwolenie w końcu mogło już tylko przyjść z zewnątrz — te właśnie centralne zagadnienia historii swego narodu próbowali rozwiązać wyżej wymienieni czołowi działacze antyfaszystowskiej Niemiec. W jakim stopniu zamierzenia ich zostały zrealizowane — nie jest tematem niniejszej pracy, z całą wyrazistością jednak należy podkreślić wielce charakterystyczną zbieżność problematyki w dziełach ukazujących się w nowych demokratycznych Niemczech — zarówno naukowych, publicystycznych jak i beletrystycznych.

Gatunek prozy, okazuje się, zupełnie tu nie wpływa na wybór zagadnień. Powieść — jak zresztą zawsze powieść realistyczna — rości sobie niemiernie prawa do rozpraw historycznych, do roztrząsania problemów społecznych i politycznych, do obciążania odpowiedzialnością historii i ferowania dla niej wyroków.

Parę miesięcy temu ukazała się na wystawach naszych księgarski powieść znakomitej postępowej pisarki niemieckiej Anny Seghers pod tytułem: „Umarli pozostają młodzi” — i nawet niepełna analiza tej książki uprawnia do zaklasyfikowania jej między innymi jako jeszcze jednego kapitalnego przyczynka dla rewolucyjnego badania historii Niemiec.

Ramy dwudziestoparoletniego okresu, począwszy od zakończenia

pierwszej wojny światowej, okazały się wystarczająco szerokie dla ujawnienia decydujących elementów kształtujących współczesną historię Niemiec. Rozdział za rozdziałem wykazuje narastanie intensywności wpływów wielkiego kapitału i junkierstwa niemieckiego na życie społeczne i polityczne. Rozwój akcji pogłębia coraz mocniejszymi barwami proces wchłaniania wszystkich dziedzin życia przez reprezentantów pruskiej soldateki i wielkiej finansjery, obraz podporządkowywania sobie klasy mieszczańskiej i obywateli klasy robotniczej. Powieść zaczyna się od zbrodni: jeniec-komunista, więziony na przesłuchanie, zostaje po drodze zamordowany. Dalej jednak bieg akcji zdaje się zwrócić do tyłu, do przeszłości, do przeszłości, oglądamy ich w pełnym świetle — pogłębionych charakterologicznie, bogato zindywidualizowanych, tak jak innych ludzi. Ta koncepcja kształtowania bohaterów jest bardzo znamieną dla centralnej funkcji książki: — o losie Erwina, o losie przegranej rewolucji, o losie klęski lewicy niemieckiej i o triumfie faszyzmu nie zadowolono zbrodnię jednostek, a tym bardziej jakąś mityczną „odwieczną zbrodniczość” narodu. Książka gromadzi mnóstwo dowodów, wskazujących na jalo-wość i fałszywość takich założeń. O drodze spruszenia, a potem sztylerizowania narodu niemieckiego decydowała walka klas i układ sił społecznych w tej walce; jej przebieg i rezultat wyznaczały dopiero charakter kolejnych etapów w procesie rozwoju historycznego Niemiec. Etap głębokiej regresji uwarunkowany był ściśle grą czynników, biorących udział w tej walce. Jedynym zatem sposobem oświetlenia związków przyczynowych faszystowskiej jest analiza sił klasowych tamtego okresu.

Powieść Anny Seghers to traktat, w którym dialektyczne roztrząsanie zjawisk historii wkomponowane jest nie w zespół naukowych wniosków, lecz w tkaninę fabularną. Prześlanką tych rozbudowań jest wprawdzie fikcja artystyczna, ale fikcja ta w pełnym wymiarze udokumentowana została rzeczywistością obywatelną. Problematyka psychologiczna postaci jest pogłębiona i różnicowana, ale związana ściśle z problematyką polityczną i społeczną. Sylwetki bohaterów książki Anny Seghers zostały ukształtowane przez czynniki historii, nie wystają z próżni, tkwią w glebie społecznej, dojrzewają pod wpływem klimatu społecznego. Powstanie i rozwój hitleryzmu nie jest tem powieści — jest jej tematem i tworzywem, czynnikiem centralnym, organizującym tok akcji. Ale ludzie nie są pajacami, poruszonymi w rytm zdarzeń historycznych na sznurku. To nie marionetki a partnerzy historii.

Już pierwsze rozdziały powieści zarysowują znamienne linie, determinując nieuchronność ich rozwoju aż do szerokiego toru faszyzmu. Ogólny przekrój układu sił w społeczeństwie z miejsca zaskakuje swą wyrazistością. Erwin to symbol dogorywającej rewolucji; chwyt kompozycyjny, polegający na ukazaniu frontu lewicy od strony dwu jednostek, z których jedna ginie, a druga zapada się gdzieś przed oczami czytelnika, podkreśla ten symbol, nie pozostawiając miejsca na sztuczne komentarze. Erwin ginie, a z rozmową przemysłowca Klemma z żoną dowiadujemy się, że mimo udziału socjaldemokra-

tycznych ministrów w rządzie polowanie na członków niezależnej partii socjaldemokratycznej i na Spartakowców trwa w najlepsze. Ta luźna uwaga Klemma trafnie charakteryzuje gatunek ówczesnej „socjal-demokracji” niemieckiej. Robotnik Gesche dowiaduje się (str. 70) „że Eberta wybrano niedawno prezydentem Rzeszy, tego samego Eberta, który — jak powiedział Triebel — niechętnie usunął cesarza i wołał strzelać do proletariatu, niż do eleganckich mundurów z epoletami”.

Nie tylko wtedy. Przemysłowiec Klemm wkrótce po zruceniu munduru otrzymuje od reakcyjnych Korpusów Ochotniczych rozkaz nacyonalistowskiego stawienia się. Leonora, jego żona, jest widocznie dobrze zorientowana w sytuacji, gdy rozmyśla: „Czerwona Armia, która przed nosem sprzymierzonych zakwaterowała się w Zagłębiu Ruhry, stanowiła groźbę dla całych Niemiec. Nieudany pucz w Berlinie rozchwiał tylko to bractwo. Podobnie, jak ubiegłej zimy, kiedy to Ebert nie mógł dać sobie rady z rewolucją, wezwał na pomoc starszych oficerów, tak i teraz musiał zwrócić się do tych samych ludzi, którym niedawno w stolicy rzucał klody pod nogi. Z pewnością był teraz szczęśliwy, że te zakazane korpusy ochotnicze, te rozwiązane brygady, wraz z zdymisjonowanymi generałami nie są jeszcze naprawdę rozwiązane, ani też nieodwołalnie zakazane”.

Leonora stanowczo zasługuje na uznanie za tak celny komentarz do sytuacji. Rzeczywiście, całkiem nieduży Fryderyk Ebert, przewodniczący rządu rewolucyjnego w Berlinie, „rzucał klody pod nogi” reakcji. Już w 1918 r. 10 listopada, w 24 godziny po zwycięstwie rewolucji, zawarł tajne przymierze z cesarską kwartą główną, której przewodził feldmarszałek Hindenburg. Na mocy tego porozumienia do Berlina miało wkroczyć dziesięć dywizji, aby wyrwać władzę z rąk Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W cztery tygodnie po ustanowieniu republiki, dwaj wielcy przemysłowcy, panowie von Stumm i von Rheinbaben zorganizowali 6 grudnia 1918 r. pucz, w wyniku którego miała być aresztowana berlińska Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, a Ebert obwołany dyktatorem. Spisek nie udał się i marszałek Hindenburg na życzenie Eberta przysłał siedem zbrojnych dywizji. Natarcie zostało odparte, ale w styczniu krew lała się na ulicach berlińskich, gdyż robotnicy podnieśli spontaniczny protest w obronie jednej z ich zdobyczy rewolucyjnych: nie chcieli dopuścić do bezprawnego usunięcia swego prezydenta policji, niezależnego socjaldemokraty. Emila Eichhorna. Wtedy to w gabinecie Eberta zebrał się rząd i wysocy oficerowie cesarscy. „Socjalista” Noske żądał powzięcia energicznej decyzji, ktoś zawołał: „Wpęć się ty do roboty”, a Noske odpowiedział: „Niech i tak będzie, ktoś przecież musi zostać krwawym psem”.

Co było dalej — wiadomo. Generał von Lüttwitz rozkazał „Poczdamskiemu Pułkowi” pod dowództwem ks. Hohenzollerna otworzyć ogień do berlińskich robotników. Przewodcy niemieckiego rewolucyjnego ruchu robotniczego: Karol Liebknecht i Róża Luxemburg zostali zamordowani, a wielki kapitał pod okiem „socjaldemokratycznego” rządu rozpoczął organizowanie korpusów ochotniczych spośród najbardziej reakcyjnych spośród najbardziej reakcyjnych mętów, później członków SS i SA.

Na tle takiej sytuacji nie dziwnym jest zażartym klótniom robotnika Gesche z robotnikiem Trieblem. Spór ten ma charakter sybuli głębokiej tragedii historycznej narodu niemieckiego. Rozłam w łonie partii robotniczych był przecież jednym z wezwojących czynników panoszenia się reakcji powilhelmowskiej i kapitału finansowego w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej. Wspólny blok robotników skonsolidowałby opór

# Z W O L O N A \*)

Walny pogłaskał się frasołbiwiec po ciemięciu. — Co jeszcze?... Zdejmijcie Cegłę z roboty. Wałkon, bałamuć mi ludzi.

— Pogadam z nim. Anteki poszedł z inżynierem w kierunku mostu nad kanałem, wypełnionym zieloną wodą z kożuchem rżeszy. O pół kilometra dalej kanał ginał w zalewiskach na polach.

Grzbietem wału doszli do pomostu przy budynku stacji. Pod mostem robotnicy pracowali przy służbie mechanicznej w rurze wylotowej.

— Dzień dobry, Sarniuk! — zawołał Anteki przechylając się przez żelazną barierę pomostu. — Jak wam leci robota?

W dole ukazał się mały człowieczek w świeczonej bluzie i obszarpanych portkach. Lewą nogę, bez buta miał grubo obandażowaną szmatami.

— A no, niczego sobie! — odpowiedział.

— Przyjechalimy tu z nowym panem inżynierem — informował Anteki.

Spod pomostu wyłaziło czterech ludzi w lachach i z umazanymi czarnym smarem twarzami. — Wzińsięz głowy przypatrywali się z ciekawością nowemu inżynierowi.

— Niemcy wysadzili kłapę samoczynną — opowiadał Anteki inżynierowi. — Nasze stocznie na razie nie mogą przyjąć tego zamówienia.

Thumacząc się brakiem surowca i różnymi innymi, pilniejszymi robotami. Wobec tego zaczęliśmy się wszyscy, jak tu jesteśmy — technik ogarnął szerokim gestem umazanych jak kominiarze obszarpanców w dole — głowic nad rozwiązaniem tego problemu.

Anteki zrobił małą pauzę. Ludzie w dole stuchali z wyrazem napiętej uwagi, jak gdyby raz jeszcze przeżywając trudną sprawę. — Jeden z naszych pracowników, Cieślík, zdaje się...

— Tak, Cieślík — podchwycił głosy z dołu.

...penetrując wśród złomu żelazstwa na terenie tej właśnie stacji odnalazł szyber, który zakłada się w wypadku naprawy pompy — opowiadał Anteki. — Postanowiliśmy użyć szyber jako służbę zamiast kłapy. No i właśnie montujemy.

Walicki ujął w garść klin siwej brody. — Jaki jest poziom wody na podlerze?

— Do dwóch i pół metra — odkrzyknął z dołu chórem.

— Gdy pompa zacznie pracować i woda na podlerze obniży się do jednego metra — wyjaśnił inżynier — wtedy poziom w kanale odpływowym podwyższy się o tyle, że ciśnienie wody zagrozi działaniu naszego szybru, uniemożliwiając dalszą pracę pomp.

Ponura cisza pokryła słowa Walickiego.

— Myśleliśmy o tym, panie inżynierze — odezwał się Sarniuk schrypiętym głosem. — A może jednak nasz szyber wytrzyma napór wody?

Inżynier pokręcił z powątpiewaniem głową. — Co wam się stało z nogą, Sarniuk? — spytał Anteki.

— Szyna mi przytłukła nogę. — Możecie chodźcie? — Chodźcie trudno, ale pracować mogę.

— A gdzie to Cegła? — Pewnie rybki łowi — roześmiał się ktoś.

Anteki zaprowadził inżyniera do budynku pompy, spod którego robotnicy wywozili taczkami gruz po rozwalonej przez pocisk artyleryjski części mieszkalnej. Hala maszyn ocalała nienaruszona.

Pozostawiając inżyniera Anteki ruszył na poszukiwanie Cegły. Nie znalazł go ani przy robocie, ani nad wodą. Udał się więc do stojącego nad rozlewiskiem, drewnianego domostwa, przeznaczonego na mieszkanie dla robotników. Do sieni wchodziło się tu po kładce, łączącej niezalaną, wyżej położoną drogę z gięciem domu.

— Jest tam kto? — zawołał Anteki.

— A bo co? — odezwał się czyjś skrzekliwy głos. — Do kogo interes?

Anteki nacisnął klamkę drzwi, zza których padło wezwanie.

W izbie na jednym z trzech łóżek leżał w ubraniu Cegła z podłożonymi pod głowę rękami.

— Dlaczego Cegła nie przy pracy?

Leżący rozchylił w cynicznym uśmiechu wąskie wargi. — Nie ma dla mnie roboty — zaskrzeczał nieprzyjemnym głosem, nie podnosząc się. — Jak przyjdzie wirnik, to będzie praca dla mnie.

— Jest i teraz robota dla Cegły, przy służbie, przy instalacji przewodów.

— Nie będę się moczył w wodzie.



— Mogą inni, może i Cegła.

— Ja mam delikatne zdrowie. Serce mi też czasem nawala.

— Cegła, nie wstyd wam? Wylegiwać się, gdy inni pracują?

W szparkach przymrużonych powiek blyszczały ironicznie oczy Cegły, zielone jak ślepa kota.

Anteki zacisnął pięści, hamując wybuch gniewu.

— Cegła wstanie i natychmiast zabierze się do roboty.

Leżący gwizdnął prowokacyjnie. — A jak nie, to co?

— To Cegła zejdzie z pracy — mówił Anteki przez zacisnięte zęby. — Od zaraz! Natychmiast!

Cegła podniósł się, jakby podzrucony sprężyną. — To tak? — warknął. — To zejdzę, psiamac!

Pochylił się i wyciągnął spod łóżka worek, do którego zaczął wrzucać przedmioty, leżące na desce okiennej: szcztokę, mydło, kubek blaszany, pudełko z konserwami...

— Łaskę mi może robicie?... To ja wam robię łaskę! Komary, wilgoc, błoto, psiamac, reumatyzm, żarcie pod psem, szyby nie ma w oknie...

Porywczym gestem ręki wskazał na otwór w szybie, zatłakany szmatą.

— Mam harować za te marne grosze? To się po mnie nie pokaże! Mam na to za delikatne zdrowie!...

Najmnie za parobka u gospodarza, będzie mi lepiej. Dostane lepsze żarcie, będę wiedział za co haruję!

Anteki wyszedł cisnawszy obelżywe słowo i trzasnąwszy drzwiami.

Zza drzwi dobiegł go skrzekliwy głos Cegły: — Zapłacisz mi pan za to! Ja nie pozwolę się obrazić byle komu, psiamac!

W chwili późniejszej Cegła w jesionce, z workiem przewieszonym przez ramię spieszył lisim, jakby czającym się krokiem przez teren robot.

— Te, Cegła, dokąd? — wołali za nim robotnicy, pracujący przy odgruzowaniu budynku pompy.

— Idę, Fruziu! — odkrzyknął. — Dostyc mam waszych komarów i wilgoci! — Łazik! — wrzasnął za nim jeden z robotników.

— Szumacher! — wrzasnął drugi.

Trzeci zaś włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeciągle, długo, na urągawisko odchodzącemu.

Idąc z Malin do Spółdzielni w Babimście spotkał Janik na szosie parobka Staśka, prowadzącego na uddziennicy bez wędzida skarogładą kłacz. Za Staśkiem syn Poncyliusza rasową, biało-czarną krowę.

— Skądście to wyszabrowali? — spytał drwiąco.

— Konie z Unry, a krowy ponoć z Dania — wyjaśnił młody Poncyliusz. — Kilka sztuk z Urzędu Ziemińskiego przyszło.

— Dla Poncyliusza i Samolińskiego starczyło, to już wiem! — zadrwił znów Janik pospieszając do Babimostu.

Przed Zarządem Gminy tłum chłopów napierał na budynek usiłując wedrzeć się do wnętrza.

Janik zatrzymał się opodal. Komendant Posterunku, sierżant Milicji, zagradzał na ganku drogę do drzwi.

— Obywatele! — wołał donośnym głosem przekrzykując wrzawę. — Obywatele, cofnijcie się! Wezwijemy wójta! Posłuchamy co powie wójt!

— Wójt! Wójta! — rozległy się w tłumie okrzyki. — Dawać tu kombinatora!

Wrzawa na przemian wzmagala się i przysgala. Gromada odstępowala powoli i cofnęła się kilka kroków od domu.

Sierżant wywołał z sieni przedstawiciela Zarządu Gminy.

Powitany złowrogim pomrukiem tłum, grubas w żółtym kożuchu i barankowej czapce ukazał się na ganku. Wystraszony, pisał dyszkantem: — Obywatele, nie ma o co robić gwałtu!

W pierwszej kolejce musieliśmy dać tym, co mają więcej gruntu do obrobienia, bo oni więcej zboża muszą oddać rządowi. Gburey niemieckie, które tu przed nami gospodarowały, to były bogate chłopcy. Mieli oni po dwie pary koni albo i więcej. I tak było dobrze. Ziemia tu ciężka na Żuławach. W jednego konia orać nie będziez. Musisz tu mieć dwa albo i trzy koniska.

Wielka wrzawa pokryła ostatnie słowa mówcy. Z tłumem podniosły się złowrogie okrzyki: — Miedzy sobą rozdaliście! Znamy was! Kombinator!

Stojący na uboczu, na szosie chłop z fajeczką, krzyknął donośnie: — Bogaczom dajecie, a biedaków krzywdzicie!

Wójt usiłował dyszkantem przekrzykić wrzawę. — W następnej kolejce każdy jeden...

Gromada z wrzaskiem runęła na ganek.

Sierżant Milicji wznosił rękę. — Obywatele — uspakajal. — Tym sposobem nie nie wskoracie. Ja radzę, zwróćcie się do waszej organizacji, do Związku Samopomocy Chłopskiej...

— Takie same tam kombinatory w zarządzie — podniósł się głos w gromadzie. — Takie same bogacze jak wójt... Albo jak Poncyliusz... Jak Samoliński...

— W takim razie zwróćcie się do Partii — doradzał sierżant donośnym głosem. — Partia wam pomoże.

Cisza zapanowała nad tłumem. Wójt zniknął w ciemnej wnękce sieni.

— Dobrze mówił! — rozległy się pojedyncze głosy. — Do Partii... Frela ułoży podanie!... Sołtys!... Frela jest partyjny!...

Zaczęto rozgłądać się za sołtysem. Frela stał na szosie z kilku innymi, cmił papierosa.

Tlum odstępowal od ganku, rzędnął. Chłopi zaczęli gromadzić się na szosie dokoła sołtysa Freli.

Mniej więcej w tydzień po bytności Walickiego i Anteki stacja w Malinach pompa.

W momencie, gdy to się stało, Janik, przeświadczony, że słuch go zawodzi, odczekał chwilę, usiłując posłyszec jeszcze szum matoru, ale przez dreczącą ciszę nie przebił się najbliższy szmer.

Zaniepokojony, wybiegł z izby do hali maszyn i zabrał się nerwowo do oglądania matoru. Niebawem wykrył defekt: prawdopodobnie ze starości, wytopiło się łożysko.

Janik doniósł o tym zaraz do Gminy.

Nowy wójt Banas, naglił o szybki remont, gdyż przez unieruchomienie pompy mogły podmoknąć grunty, na których chłopcy posiedli już jere zboża.

Z Pilawy przyszedł wezwany Sarniuk, i wszyscy trzej, Janik, sołtys i Sarniuk, głowili się nad sposobami naprawy panewki.

Po dwóch neradach Frela wpadł na pomysł, żeby wymienić łożysko z autobusu, który stoi na polu razem z innymi truchotami z dywizji nancernernej Gcerninga.

Sarniuk był zdania, że łożysko z autobusu będzie za małe. Ale Janik zapalił się i ponierał projekt sołtysa. — Mator przy pomie — mówił — jest nieduży, a tamten autobus — jak chahura. Dlatego właśnie panewka może się nadać.

Rada w radę, wybrali się w pole, na miejsce, gdzie leżały rozwalone samochody.

Sarniuk kręcił lysą głowę. — Na oko — powiedział — kto wie, może będzie pasować. Trzeba rozmontować i zmierzyć. Ale...

Palcem wskazał na dwa napisy kredą na czerwonej scianie wozu, jeden — prawie już starty i zamazany, zaś drugi — wyraźny, świeżo widocznie położony.

— Nie da rady inaczej — uniósł się popedliwy Frela. — Trzeba iść i zapytać, czy pozwoli po dobrej woli wyjąć panewkę. Nie byłoby chyba człowiekiem, gdyby się sprzeciwił, bo tu idzie o całą wieś.

Poszli więc z powrotem, w kierunku zagrody Samolińskich.

— Dobra nasza! — ucieszył się Sarniuk na widok Walnego, rozmawiającego w podwórzu z gospodarzem. — Walny nam pomoże.

— O co chodzi?

Sarniuk niby kierownik delegacji wystąpił naprzód i wyłożył całą rzecz, jasno i żwiewie. Tak i tak. — Jeżeli nawet warsztaty w Pleniewie — rozumował — które są za walone robota, zgodzą się wyremontować łożysko, to naprawa potrwa kilka tygodni. Przez ten czas chłopcom podmokna grunty i zastawy się zamrznąją. Dlatego potrzeba nam zaraz też panewki. Ja myślę, że pan Samoliński zgodzi się i pozwoli wjechać...

Samoliński w wojskowej kurtce, w butach z cholewami, złożywszy ręce za plecy stał i słuchał z doskonałą obojętnością. Dopiero przy ostatnich słowach wytrzeszczył oczy.

Sarniuk, zdetonowany, dodał: — Na mój rozum, to całej wsi na tym zależy...

Samoliński zaczął ksztusic się i kaszlać. — Ludzie kochani — wyrzekł wreszcie zdławionym głosem — wy chyba macie źle w głowie? Żle w głowie! — powtórzył. Twarz mu pociemniała i zrobiła się purpurowa aż po brzegi siwych włosów.

— Zeby wymagać czegoś takiego?... Nie, u Boga Ojca, nie mogę tego słuchać!

To rzekłszy odwrócił się i ruszył energicznie do domu.

— To tak? — rozniósł się sołtys i kijkiem dziobnął ziemię.

— A no, dobra! Wiadomo, czego się trzymać.

— Sami sobie poradzim!

— Nie będziemy pytać o zgodę — wykrzyknął Janik zapalczywie — i wymontujemy dziadowi panewkę!

— Janik! — zagrmiał ostrzegawczo Walny tubalnym głosem.

Wszyscy trzej, Sarniuk, Janik i sołtys parzyli wyczekująco na Walnego.

— Stefan! — rozległ się podrażniony głos gospodarza.

— Tylko bez kawałów! — akcentował gburawo Walny przenosząc kolejnó wzrok z Janika na Sarniuka i wreszcie na sołtysa.

— Znajdźcie się sposób na uruchomienie pompy, ale nie robć mi kawałów.

— Stefan, proszę cię! — wzywał Samoliński siostrzenca.

Walny odwrócił się i pośpieszył ku domowi.

— Widzisz, coś narobił! — Samoliński w sionce przyparł siostrzenca do ściany. — Mówiłem, że byś mi załatwił w Gdańsku te sprawy! No i załatwiłeś, psiakrew! Dotąd nie mam odpowiedzi! Ładnie mi się odwdzięczasz! Chamy gotowe rozebrać autobus.

Bronka, przerażona, przyglądała się tej scenie.

Gdy ojciec, poirytowany, został siostrzenca i przeszedł przez kuchnię do pokoju, Bronka dopadła kuzyna w sionce. — Stefan, załatwił ojcu te sprawy — chwyciła go za ramię i potrząsała nim. — Zobacysz, że to sie na nas skrumpi, jeżeli nie załatwisz.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

\*) Fragment noweli filmowej.

# STAJĄ MŁODZI\*)

społeczeństwa przeciwko hitleryzacji i wielki kapitał nie miałyby tyle do powiedzenia, powołując do władzy swego „meza opatrnościowego”. Ale postać robotnika socjaldemokraty, Geschkego, doskonale obrazuje manowce swiatopogładowe, na które zostały zapędzone masy SPD. Geschke decyduje się na udział w pogrzebie Karola Liebknechta i Róży Luxemburg, a udział w dławieniu puczu Kappa i karabin ukryty za szafą świadczy o wyraźnie rozwiniętej świadomości klasowej. Jego cierpienia z powodu nazistowskiego wychowania syna Franza, i głęboka duma połączona z ojcowską czułością w stosunku do przybranego dziecka Hansa — za to, że wyrośnie na socjalistę; pieniądze potajemnie wsuwane pod słomiankę żonie komunisty przebywającego w obozie koncentracyjnym, zacięta nienawiść do faszyzmu — wszystko to przecież wyraźnie określa miejsce Geschkego w układzie politycznym społeczeństwa. Ale również bezwzględnie ważką wymowę mają jego spory z komunistą Triebelm. Kiedy w 1932 r. pruski gabinet socjaldemokratyczny Brauna został usunięty przez rząd kanclerza Rzeszy, Papena, Geschke jest kompletnie zlamany. Oczekiwał walki, odsunął szafę i wyjął karabin, żeby każdej chwili być w pogotowiu. „Ale nazajutrz nikt po niego nie przyszedł, usunięty minister nie wezwał go: odwał się do trybunału Rzeszy”. Kłęska przyszła bez walki, bez oporu, ale nawet i to niczego nie nauczyło Geschkego. Z wściekłością wola do komunisty Triebela: „Robiliście zawsze wszystko, żeby mu szkodzić; z pewnością zadowoleni jesteście z tego, co się stało, samicie przeciw tego chcieli”. Triebel w kłótni rzuca mu na koniec: „Trudno pomóc temu, kto stracił głowę”. I naprawdę niedaleko odbiegł od rzeczywistości w tym stwierdzeniu.

W 1933 r. sześćdziesięciu postów socjaldemokratycznych głosowało na Hitlera, a w 1932 żaden z ich przywódców nie chciał się zgodzić na wspólny front obrony przed faszyzmem. Konsekwentne, ani słowa, — i komuniści umieli to właśnie przewidzieć. Ale upadek gabinetu Ottona Brauna był dla nich niemiejszym ciosem niż dla socjaldemokratów. Był to przecież niemal ostatni cypel wśród szalejącej już nawałnicy hitleryzmu. Triebel mówi: „Dziś to już nie to co było wczoraj. Dziś ta szajka usuwa człowieka, aby na jego miejsce posiadać kogoś jeszcze gorszego”.

Tak to przyszedł moment, kiedy koalicja w rządzie wydała się faszyzmem zbyt zbyteczna, a wtedy ostatnie, socjaldemokratyczne gabinety rozpadły się w proch. Skończyła się era „współpracy” i zaczęła hitlerowska dyktatura. Kapitałisci „wypuścili na estradę” swego kuglarza. Czyhanie na pomocnika pokazane jest w powieści Seghers w paru świetnych, aż drapieżnych w swej przenikliwości fragmentach.

W tym miejscu wyjaśnia się zagadka ośniewających i zawrotnych w swej nagiłości sukcesów Hitlera na początku lat trzydziestych. Wiadomo przecież, że w tym okresie szanse hitlerowców zaczęły maleć. W wyborach 6 listopada 1932 r. SPD otrzymała 7,25 milionów KPD — 6 milionów, a hitlerowcy stracili 2 miliony głosów. W partii rozpoczął się kryzys i katastrofa musiała zagrażać skoro w pamiętniku Goebbelsa czytamy m. in.: „Jesteśmy wszyscy bardzo zdepymowani przede wszystkim ze względu na zagrażające partii nie-

bezpieczeństwo rozkładu... Führer chodzi godzinami po pokoju hotelowym, raz jeden przystanął i powiedział: „Jeżeli partia rozpadnie się, skończę samobójstwem w ciągu trzech minut”.

Ale partia NSDAP nie mogła się rozpaść, bo to był — jak mówi kapitalista Castricius — „socjalizm narodowy, dobry dla wszystkich”, niezawodny oręż imperialistów, któremu nie wolno było dać się wyszczerbić. Nie było przedtem dużej partii, która by umiała tak wykorzystac nędzę szerokich mas mieszczańskich (ta pozornie poprawy bytu zaznaczona jest kilkakrotnie na tle pogawędek wśród biedoty drobnomieszczańskiej i proletariatu). Zasugerowano i zdyna-

nych warunków pozyskiwania juncków dla sprawy Hitlera. Wielcy obszarnicy interesowali się rozwojem partii NSDAP nie tylko dlatego, że obdarzała ich specjalnymi subwencjami, nie tylko dlatego, że stosowała pomyslną dla nich politykę celną, lecz również — a raczej przede wszystkim dlatego — że umiała poskromić żądania biedoty wiejskiej i zwracać uwagę mas na domniemanych sprawców zła, wzniciając chęć podboju.

Hitler był dla reakcji niemieckiej wodzem zesłanym przez opatrność dla ostatecznego zdławienia rewolucji i postępu w Niemczech. Ale interesy reakcji nie stanowiły monolitu. Książka Anny Seghers kunsztownie odtwarza pro-

ces hodowania bakcyła faszyzowskiego w różnych środowiskach: wielkich przemysłowców (Klemm, Castricius, Schlüterbock), juncków i militarystów (Wenzlow von Ziesen, Lieven), kulaków (Nagler), luźno rozsypanego drobnomieszczaństwa i pokazuje jak wielość linii życiowych każdej z tych sfer zbiega się do wspólnego ogniska ideologicznego, jakie stworzył dla nich hitleryzm. „Dobry dla wszystkich” — powiedział Castricius. Dla dogorywającej klasy kapitalistycznej, której tylko imperializm jest w stanie przedłużyć byt, dobry dla deklarującej się burżuazji przed którą plany podbojów otwierają nowe perspektywy wzmocnienia usuwających się spod nożycy, dobry dla steranego kryzysem drobnomieszczaństwa, marzącego o wyładowaniu snów o potęgę w szeregach SS, dobry dla mętów wszelkiego kalibru gotowych runąć na wszystko, co stało na drodze: robotników, Żydów, demokratów, byle tylko w ten prosty sposób osiągnąć awans i zdobyć łup. Hitler umiał organizować armię obrony imperialistycznych pozycji — nie dziwnego zatem, że wielka finansjera obsypywała go złotem. Stokrotnie miał jej się potem opłacić ten wkład: najpierw w zbrojeniach, potem w wyładowywaniu tych zbrojeń.

To kaptowanie ludzi do koryta hitlerowskiego ukazane zostało w książce z przenikliwą dokładnością — brak nam natomiast szerszego artystycznego i ideowego rozpracowania frontu przeciwników, frontu walczącej lewicy. Erwin i Martin to raczej symbole ruchu oporu niż konkretni bojownicy; Triebel i gaska młodych stanowczo nie wyczerpuje rozdziału historii dotyczącego działalności podziemna KPD w okresie hitleryzmu. W płaszczyźnie

fabuły książki „Umarli pozostają młodzi” napiera nieustannie fabuła drugiej powieści Seghers pt. „Siódmy Krzyż”. Martin i Hans nie wytrzymują zestawienia z Heislerem i Wallaem z „Siódmego Krzyża”: dynamizm walczącej Komunistycznej Partii Niemiec, stratowanej prześladowaniami, szczupłej, popełniającej błędy w swym działaniu, był przecież mimo to wszystko tak potężny, że żadną miarą nie daje się potraktować marginesowo. Schemat kompozycyjny świetnej zresztą książki w tym miejscu zawodzi.

W układzie wątków tematycznych powieści zachodzi poza tym pewna dysproporcja: autorka pokazuje łowienie ofiar otumanionego społeczeństwa niemieckiego w sieć pozorów tysiąclatniej Rzeszy — nie widzimy natomiast zacieśniania się pętli tej sieci już w pierwszych latach owego „tysiąclecia”. A przecież narodowy socjalizm, „dobry dla wszystkich”, własnemu narodowi najpierw pokazał swoje bestialskie oblicze. Komuniści łepieni są gorzej od psów, ale gestapo szalało nie tylko w stosunku do komunistów. (Na tym przecież m. in. polegały złe obliczenia SPD. Błędna kalkulacja w grze socjaldemokratycznej partii, której rezultaty miały się odbić nie tylko w jej klasce politycznej, ale w bezpośredniej klasce egzystencji). Ta problematyka nie jest wyrażona — w książce, czego brak tym bardziej wobec bogatej, wyczerpującej analizy innych elementów zagadnienia. Groza, wisząca w powietrzu nad otepiałym pod wpływem teroru społeczeństwem niemieckim, tak dobrze znana czytelnikom „Siódmego Krzyża”, jest tu nieobecna. Proces deformacji psychicznej pod wpływem działania hitleryzmu w „Umarli pozostają młodzi” jest niecałkowity — stanowi jakby dopiero wstęp do tamtej powieści, napisanej zresztą wcześniej. Hitleryzm przeprowadził wewnątrz własnego społeczeństwa linię demarkacyjną, dzielącą je na szczygających i prześladowanych, która — mocna i bezbłędna w „Siódmym Krzyżu” — nie ma dostatecznego wyrazu w „Umarli pozostają młodzi”. Narodowy socjalizm deptał lub degenerował, niszczył lub ogłupiał — i to bardzo charakterystyczne — nie zjawisko nie dość zostało podkreślone. Oczywiście, niedostatek ten — w pewnej mierze wypływa z tej przyczyny, że bohaterzy „Umarłych” należą do tych warstw społeczeństwa, których rolą jest raczej inspirowanie bestialstwa, niż paranie się nim bezpośrednio.

W książce tej niewiele miejsca zajmują obozy koncentracyjne — w mistrzowskiej analizie pokazany jest jednak zespół czynników historycznych, dzięki którym te obozy powstały. Niemniej, a może właśnie dlatego — czytelnik polski z niecierpliwością oczekuje ukazania się „Siódmego Krzyża”. „Siódmy Krzyż” uzupełni we wszystkich szczegółach obraz rządów „führera”, a bohaterzy tej powieści pogłębią prawdziwość tezy, że „Umarli pozostają młodzi”.

ZOFIA RZEPLIŃSKA

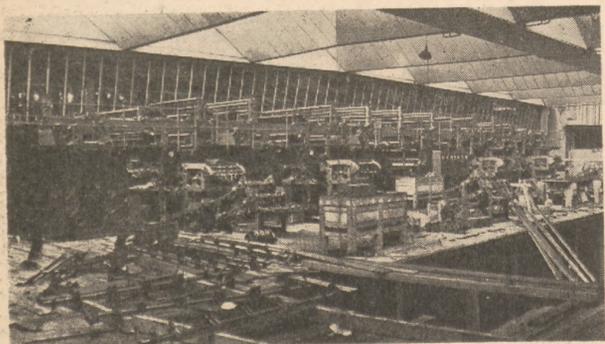
\*) „Umarli pozostają młodzi” — Anna Seghers, „Czytelnik”, 1949.

\*\*) „Czego nas uczą dzieje Niemiec” — Albert Norden; „Książka i Wiedza”, 1949.

\*\*\*) „Naród na manowcach” — Aleksander Abusch; „Książka i Wiedza”, 1950.



Wolna Młodzież Niemiecka na manifestacji przyjaźni w Zgorzelcu



Wielka maszyna rotacyjna w Domu Słowa Polskiego, drukująca jednocześnie 92 strony.

ZYGMUNT GARSTECKI

## JAK PRACUJĄ LUDZIE RADZIECCY

„Tak — mówi w wagonie ob. Wardak z woj. olsztyńskiego do swojego sąsiada — to racja. Tutaj ludzie dobrze pracują. Jakoś praca ich jest dokładniejsza, pilniejsza i sumienniejsza — dodaje zamyślny”.

Jest to jeden z głównych tematów rozmów, jakie uczestnicy drugiej w tym roku wycieczki chłopskiej do Związku Radzieckiego prowadzą w czasie długiej 3-tygodniowej podróży. Stosunek ludzi radzieckich do pracy jest zjawiskiem uderzającym i rzucającym się w oczy każdemu, kto przekracza granicę Związku Radzieckiego.

Przeglądaliśmy się pracy kółchożników w polu i na fermach, robotników w fabrykach, obsługi w restauracjach i w hotelu, szoferów w autobusach obwozających nas dziesiątki kilometrów po Stawropolskim Kraju. Wszędzie to samo: sumienne, dokładne i odpowiedzialne wykonywanie swoich najdrobniejszych nawet obowiązków. Ale nie dość na tym: ludzie radzieccy pracują z zamiłowaniem i oddaniem. Nie jest to mechaniczne, bezmyślne spychanie obowiązków. Przeciwnie mogliśmy przekonać się wielokrotnie, że człowiek radziecki ma czynną i twórczą postawę wobec pracy. Myśli nieustannie i nieustannie zastanawia się nad tym, jak usprawnić i udoskonalić swoją pracę, jak zastąpić wysiłek mięśni ludzkich pracą maszyn, jak zwiększyć wydajność i osiągnąć lepsze wyniki. N. p. w 11-gim Stawropolskim Sochozie Konym („Wtóry Stawropolski Konnyj Zawod”) robotnicy pokazywali nam kosiarki i grabiarki własnego pomysłu, polegające na sprzężeniu czterech kosiarek i trzech grabiarek (łącznie szerokości 12 m!) w jeden zespół maszynowy — poruszany jednym traktem. Pokaz teżienia łaki tym skombinowanym zespołem maszynowym wzbudził podziw i zachwyt wśród uczestników naszej wycieczki.

W pracy ludzi radzieckich nie dostrzegaliśmy nerwowości i gorączkowości. Pracują spokojnie i dokładnie. Wynika to z przemysłowej i zaplanowania każdego zadania, powierzonego całemu kolektywowi i poszczególnym jego członkom. Przytem „planowanie nasze — jak oświadczył nam jeden z przewodniczących kółchożów — nie ogranicza inicjatywy i pomysłowości zespołów i indywidualnych robotników. Przeciwnie, wymaga tego od nich”.

Wymaga również wysokiego koleżeństwa. Polega ono nie tylko na użyczeniu sobie pomocy w określonych sytuacjach i warunkach. Widzieliśmy, jak szoferzy naszych autobusów i towarzyszących nam samochodów w najbardziej męczącym i rozleniwiającym upale spieszyli solidarnie i bez zwłoki z pomocą towarzyszy, który jej potrzebowali. Koleżeństwo radzieckie obejmuje również wymianę doświadczeń, jakie we współzawodnictwie pracy poszczególne zespoły zdobywają. Nie dostrzegaliśmy u współzawodniczących ze sobą kierowników kółchożów ani cienia zazdrości i chęci ukrycia metod i sposobów prowadzących do lepszych wyników. Odwrotnie, uderzała nas szczególnie wazajemna życzliwość i gotowość dzielenia się wszystkim co może „przeciwnikowi” ułatwić osiągnięcie zaplanowanego zadania.

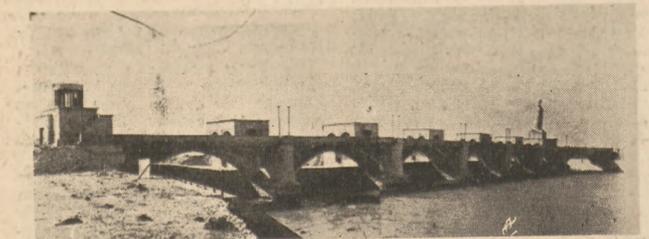
Jakie jest źródło i co jest podstawą takiego właśnie stosunku do pracy i takiego stylu pracy? Już na stacjach kolejowych obok fotografii i nazwisk na tablicach przodowników pracy czytaliśmy wiele cytatów z Lenina i Stalina o pracy, o socjalistycznym stosunku do pracy. I właśnie w nauce marksizmu-leninizmu i we wprowadzeniu jej w życie przez W. K. P. (b) i klasę robotniczą — leży źródło i tajemnica tego wszystkiego, co nas wszystkich uderzało i zaskakiwało. Józef Stalin przemawiając na Pierwszym Wszzechzwiązkowym Naradzie Stachanowców 1 listopada 1935 r. (Zagadnienia Leninizmu str. 459) powiedział o stachanowcach następujące słowa: „Są to przeważnie młodzi lub w średnim wieku robotnicy i robotnice, ludzie kulturalnie i technicznie wyrobieni, którzy dają przykład dokładności i staranności w pracy, umieją cenić czynnik czasu w pracy i nauczyli się liczyć czas nie tylko na minuty, ale i na sekundy”. I dalej: „Są oni wolni od konserwatywności i zaśniedziałości niektórych inżynierów, techników i pracowników gospodarczych, idą śmiało naprzód burząc przestarzałe

normy techniczne i stwarzając nowe, wyższe, wnosząc korekty do zaprojektowanych potencjałów wytwórczych i do planów gospodarczych, ułożonych przez kierowników naszego przemysłu, raz po raz uzupełniają i korygują inżynierów i techników, częstokroć usz i pchają ich naprzód, gdyż są to ludzie, którzy całkowicie opanowali technikę swojej pracy i umieją wycisnąć z techniki maksimum tego, co można z niej wycisnąć”.

Wysoki stopień świadomości politycznej i nieustanne świadome dążenie do ulepszenia podwyższania i usprawniania techniki, form i metod pracy oraz przewyższanie wszelkiej skostnienia, zastój i konserwatywność — oto co widzieliśmy u ludzi radzieckich. Na dzisiejszym stopniu rozwoju społeczeństwa radzieckiego nie dostrzegłszy już podziału na starych i młodych, podziału na pokolenia. Minister Rolnictwa ZSSR, Benediktow, wznosząc toast na cześć młodości wyjaśnił nam, że w Związku Radzieckim młodość nie mierzy się latami, lecz stopniem aktywności człowieka, jego czynnym i twórczym uczestnictwem w budownictwie ustroju komunistycznego. Było to już pod koniec naszej wycieczki w Moskwie. Przypomniały się nam świeże obrazy z kółchożów, sochożów, MTS-ów i ze Szkoły Mechanizacji Wiejskiej Gospodarstwa im. Liebknechta. Tak — to prawda. Młodzi, dorodzi i nawet starzy — wszyscy żyją jedną myślą: budować, tworzyć i podnosić na wyższy poziom życie w kółchożach, sochożach, w Kraju Stawropolskim i w całym Związku Radzieckim.

Zwiedzaliśmy w Kraju Stawropolskim system kanałów nawadniających, stanowiących jeden z odcinków gigantycznej walki o przeobrażenie przyrody w tym kraju, którego kłębszą są, a właściwie można już powiedzieć, były wyniszczające susze. Byliśmy na Kanale Niewinomyskim zbudowanym w oparciu o Kubań — jedyną niewysychającą latem rzekę. Kanał ten długości 50 km., a z bocznymi odnogami 4.000 km. (w tym 6 km. tunelu przez górę!) budowało przez 12 lat 50.000 ludzi. Dzięki uruchomieniu tego kanału nawodniono 105 tysięcy ha terenów stepowo-pustynnych, które zamieniono już na kwitnące łąki i pastwiska. Ponadto uruchomiono na kanale potężną elektrownię o sile 12 tysięcy kilowatów.

Głównego inżyniera kierującego budową tego kanału, Boczkina, i kolektyw fachowców specjalistów spotkaliśmy przy budowie następnego systemu kanałów nawadniających



Tama na rzece Kubań na początku kanału Niewinomyskiego łączącego morze Azowskie z Kaspijskim.

cyh, t. zw. kubańsko-jegorlickiego systemu nawadniania. Przez zasilenie wodą z kanału niewinomyskiego małej rzeki Jegorlicki stworzono warunki do rozpoczęcia budowy ogromnej tamy, która służy na Jegorlicku wielkie 22-kilometrowej długości sztuczne jezioro. Z tego jeziora przeprowadzone będą dwa główne kanały: jeden długości 175 km. i drugi 220 km. Jest to największe tego rodzaju przedsięwzięcie na świecie. Tam też mieliśmy okazję zapoznać się ze wspaniałym rozwojem techniki radzieckiej. Jeśli 50 km. kanał niewinomyski budowało w ciągu 12 lat około 50.000 ludzi — to system kanałów oparty o Jegorlicki (razem z tamą i jeziorem) buduje niecałe 3.000 ludzi w znacznie krótszym okresie czasu. Główne prace wykonuje się przy pomocy potężnych maszyn.

Oglądaliśmy roboty przy budowie tamy. Rozmawialiśmy z inż. Boczkim, technikiem i robotnikami. Uderzała nas skromność i prostota tych ludzi. Wiedzieliśmy, że stoją przed nami twórcy gigantycznego dzieła. Byli to ludzie prości, spokojni i skupieni — ludzie przepojeni bez reszty sprawą budownictwa powierzonego im dzieła. Wszyscy bez wyjątku mó-

KAZIMIERZ DĘBNICKI

# BOGATA PRACĄ I SŁOWEM...

22 lipca ruszyły maszyny drukarskie Domu Słowa Polskiego. Potężna rotacja rzuciła w ręce zebranych pierwsze numery centralnego organu Partii — twórczyni i przywódczyni wielkich przemian, nowoczesne radzieckie linotypy zadrgały, zaklekoły — zaczęły pracować.

W pierwszym roku wielkiego 6-letniego planu, otwierającego przed narodem perspektywę socjalizmu — fabryka słowa drukowanego, warsztat, w którym z surowca maszynopisów — wytworzone zostaną mi-

liony nakładów gazetowych, broszurowych i książkowych — została oddana do użytku.

„Jak pociski wyrzucane będą miliony książek i wydawnictw. Książki te i wydawnictwa gruntować będą wiedzę o życiu i o walce o lepsze jutro, szerzyć będą poczucie piękna, poczucie wartości człowieka i jego walki o wyzwolenie, bombardować będą okopy ciemnoty i zacofania, przesądów i zabobonów, kształtować będą postawę wobec życia, wpać będą obowiązki wobec swojego narodu i wobec międzynarodowej walki o najświętsze sprawy ludzkości, o postęp i pokój, o wyzwolenie świata spod grozy imperializmu.“ (Józef Cyrankiewicz).

Spod rotacyjnej maszyny, spod klawiatury linotypów będą płynąć na całą Polskę, do szerokich mas odbiorców literatury i prasy rzeki słowa polskiego i rzeki najcenniejszych słów pisarzy wolności całego świata. Utrwalone zostanie w Poisce Ludowej dzieło wielkich mistrzów pióra, reprezentujących w swoich epokach najwyższe wartości ludzkiej myśli, utrwalone i triumfujące będzie w Polsce Ludowej zwycięskie słowo twórców i wodzów obozu marksistowskiego, robotnicze słowo — socjalizm.

Nie dbała polska burżuazja o trwałość element w dziejach narodu i świata — o słowo, nie dbała o trwałość czynnik dobrobytu narodowego — o przemysł. I słowo i przemysł były jej potrzebne jedynie w zakresie ciasnych klasowych interesów. I słowo i przemysł burżuazyjnej Polski — nie miały z narodem, z jego pragnieniami i walką nic wspólnego.

22 lipca 1944 roku w Polsce zażajała zorza nowych dni.

Od tego dnia w Polsce Ludowej obok likwidacji zniszczeń wojennych, obok odbudowy i rozbudowy fabryk, hut, kopalń, portów i komunikacji, obok walki o postęp w rolnictwie, obok walki o coraz lepsze i jaśnie-

## Nowa Huta znosi „Nędzę Galicji”

(dokończenie ze str. 1)  
dycji robotniczych w dziedzinie organizacji, dyscypliny pracy i w walce klasowej proletariatu miejskiego. Ale stale i względnie szybko zespalała się ze starymi robotnikami, z budową i fabryką, zdobywając kwalifikacje zawodowe, nasiąkając nawy-



kami robotniczymi, zmieniają z dnia na dzień swoją psychikę i tworzą nowe oddziały klasy robotniczej. Najszybciej zachodzi ten proces wśród młodzieży, która garnie się do nauki i pracy i staje szybko w szeregach entuzjastów budowy przemysłu socjalistycznego. Taki np. Ożański, syn trzechmorgowego chłopca, już w dwa tygodnie po przyjeździe do brygady ZMP, stanął obok majstra jako poddzielny murarzem, wyszkolił z podreżnych pięciu kolegów - murarzy, którzy stanęli do współzawodnictwa. Ostatnio 54 Brygada Młodzieży ZMP na Nowej Hucie pobiła rekord młodzieży w kraju. Wzniosła mur domu mieszkalnego z 34.727 cegieł w ciągu 8 godzin. Ta brygada zobowiązała się wykonać budynek rozpoczęty w dniu 14 bm. na 22 lipca. Będzie to pierwszy na Nowej Hucie szybkościowiec wybudowany przez młodzież.

Przy budowie Nowej Huty wysunęło się dotąd na czoło 114 przodowników pracy wyrabiających ponad 300 proc. normy. Wśród młodzieży 301 przodowników wyrabia normy od 200 proc. do 500 proc. Na wszystkich budowach rozwinęło się współzawodnictwo pracy, obejmując przeciętnie 60 proc. zatrudnionych. Wspaniałe wyniki osiągnęli młodzieźni przodownicy pracy Brygady 45 i 51 ZMP, z Nowej Huty: Machnik Jan, Machnik Mieczysław, Witkowski, Kaczmarek i wielu innych. ZMP-owcy z Zakładów Chemicznych w Dworach: Kasza, Knot, Bryła, Wrona i inni, którzy niedawno przyszedł z wsi, usilną pracą zdobyli wysokie kwalifikacje zawodowe, przodują w pracy i entuzjazmie dla socjalistycznej pracy.

Szkoły Zawodowe Zakładów Chemicznych w Dworach wypuszczają rocznie wielu absolwentów, wykwalifikowanych robotników i techników spośród młodzieży wiejskiej.

W szeregach współzawodnictwa stanęli również i ludzie starsi, którzy

sze mieszkanie robotnika, chłopca, inteligenta — trwała potężna bitwa o oświatę i kulturę.

Likwidacja analfabetyzmu, wciągnięcie mas ludowych do czynnej pracy w dziennikarstwie — dzięki wzrastającemu stale ruchowi korespondentów, coraz bardziej skuteczne szukanie w szeregach robotniczych i chłopskich nowych, twórczych talentów pisarskich, jednocześnie przeobrażenia twórczości, przeobrażenia tematyki naszej prozy, poezji, scenariusza, kompozycji muzycznej i pracy plastyka — oto są nasze sukcesy.

Sukcesy zależne od siebie i niemożliwe do osiągnięcia bez jednoczesnego zwycięstwa na wszystkich odcinkach frontu kultury i oświaty.



Dom Słowa Polskiego w czasie budowy.

Ale i to trzeba najusilniej, najmocniej zapamiętać — że nie ma, nie może być zwycięstw na tym froncie, bez osiągnięć i zdobyczy na froncie gospodarczym. Nędza ma to do siebie, że jest — powszechna, rozwój i postęp mają to do siebie, że ogarniają całokształt naszego życia.

Polska przedwojenna — to kraj powszechnej nędzy.

Polska Ludowa — to kraj rozwoju

i postępu, ogarniających całe nasze życie.

Dlatego uruchomienie fabryki Słowa Polskiego w pierwszym roku Planu 6-letniego ma ogromną wymowę. Pokazuje nam wyraźnie zależność wzajemną dwóch elementów gospodarki przemysłowej i kultury. Pokazuje nam, że właśnie w kraju, który odbudował, rozbudował i nadal coraz bardziej rozbudowuje swą gospodarczą bazę, możliwe było stworzenie takich warunków, takiego zapotrzebowania na słowo pisane: książkę, podręcznik, gazetę, że trzeba w stolicy kraju wznieść było gigantyczną halę maszyn umasawiających słowo polskie, słowo międzyna-

rodowego postępu i pokoju — milionem obywateli.

22 lipca forteca oświaty masowej, forteca kultury zadrgała życiem. Rece radzieckich, niemieckich i polskich robotników dokonają tego — udawadniając, że sprawa Pokoju, Postępu, Wolności — jest im wspólną i drogą. Te ręce dały wkład do budowy bogatej słowem i bogatej gospodarczo Polski.

Kazimierz Dębnicki

objektów czy też odcinków pracy na tych zakładach nie zawsze jeszcze panują nad zagadnieniami organizacji pracy, racjonalnej gospodarki ludzimi i sprzętem maszynowym, a często dopiero uczą się metod pracy, nieznanymi im dotąd w kraju o tak zacofanej gospodarce, jakim była Polska sanacyjna. Jedną z głównych wad kierownictwa jest brak synchronizacji w budownictwie. Nie buduje się równocześnie mieszkań, świetlic, przedszkoli, sklepów itp. a budowanie domów następuje czasem przed uzbrojeniem terenu. Niektóre z przedsiębiorstw nie dotrzymują terminów, wykazują braki organizacyjne, administracyjne przestępy: biurokracyzm, brak koordynacji i tendencje do ograniczania inicjatyw komórek niższych. Występują zjawiska słabego powiązania kierownictwa działu czy brygady z kierownictwem odcinka. Typowy dla wielu inteligentów pseudoindywidualizm, brak zrozumienia dla zgranej kolektywnej pracy powoduje działanie pod kątem własnych odcinków bez oglądania się na całość. Okazuje się w praktyce, że taka np. budowa Nowej Huty jest wielką szkołą organizacji pracy, w której nieraz szybsze postępy robią robotnicy i młodzież, aniżeli fachowi organizatorzy — inteligenci, obciążeni kapitalistycznymi tradycjami. Niemniej jednak obryzmia większość ludzi z kierownictwa nastawiła się do pracy nie tylko pozytywnie ale z entuzjazmem. Porwała ich ta gigantyczna praca, porwał rozmach socjalistycznego tworzenia.

Nie pozostają w tyle za inteligencją techniczna i pracownicy kultury. O Nowej Hucie pisał literaci, dziennikarze, idą tam i do innych budujących się obiektów przemysłowych artystów z występami. W dniu 22 lipca ukazała się gazeta Nowej Huty. Województwo krakowskie podobnie jak cała Polska przeżywa olbrzymi, twórczy zryw, przeżywa wspaniały okres budowy podstaw socjalizmu w Polsce. Zmienia swoją strukturę gospodarczą, społeczną i psychiczną. Jak w całej Polsce tak i w województwie krakowskim rosną z dnia na dzień nowi ludzie, rośnie socjalistyczny człowiek. Ludzie naszego województwa budują i uczą się głębokiego sensu budowania socjalistycznego, którego treścią jest: „POSTĘP I POKÓJ”.

Adam Polewka



TADEUSZ SZEWEERA

# CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ W SZKLARSKIEJ PORĘBIE KLASYK CZEKIEJ PROZY

Kiedy siedzieliśmy zapatrzeni w sinozielone pasmo Karkonoszy, słuchając fantastycznych legend, które nam z zapałem opowiadali autochtoni o mieszkańcu gór — Liczyrzepie, albo kiedy leżąc na zielonych zboczach przaliśmy się w czerwcowym słońcu, tam gdzieś daleko od Szklarskiej Poręby Średniej, w rybnickiej kopalni węgla „Anaprząd”, żaloga przygotowywała się do Czynu Lipcowego. Ale tow, Konrad Klimek, przebywający na wczasach w Szklarskiej o tym nie wiedział. Domyślał się tego jedynie Nie dotarła do niego, wracającego ustawicznie myślami do kopalni wieść, że tam Czynu wkładał w ręce jego kolegów-górników nowe zobowiązania, że przekraczając codziennie normy wydobywania węgla, że czerwona linia na wykresie biegła coraz wyżej i wyżej. W Szklarskiej Średniej czas się zatrzymał...

Tow Klimek ma 57 lat. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany mężczyzna, o mądrych, piwnych oczach świadomego robotnicarza. Siwe włosy, grudek węgla zakręplone w skórze twarzy czarnymi plamkami i twarde, sękaty ręce. Wesoły, pełen werwy i jak o nim tu mówiono „chłop jeszcze do rzeczy”.

Klimek był przedstawicielem klasy robotniczej. Znaczenie wczasów oceniał jako zdobyc socjalną jego klasy. I dlatego może, w przeciwieństwie do innej grupy wczasowiczów, często dzielił się krytycznymi uwagami z kierownictwem ośrodka wczasowego, rzucał projekty, chciał pewne rzeczy usprawnić, by wczas zapewniały robotnikowi i odpocznik i kontakt ze światem.

„Powietrze w Szklarskiej jest wspaniałe i to jest ważne. Jedzenie więcej niż sport, przyjemne i czyste pokoki, dobre... Ale to przecież jeszcze nie jest wszystko.

Klimek czegoś więcej spodziewał się na wczasach. Według niego nie można poprzestać na wyleganiu się na słońcu, patrzaniu na góry. Tu trzeba znaleźć także chociaż cząstkę tego, czym się żyło na fabryce. Klimekowi chodziło o życie kulturalno-oświatowe, które wciągało się z fabryką lub kopalnią. A tego na wczasach w ośrodku gdzie mieszczą się domy „Wisła”, „San”, „Krokus”, „Wersaliku” itd. w Szklarskiej Średniej, brak. Owszem, w Szklarskiej Górnej istnieje nawet wzorowa świetlica wczasowa, gdzie skupia się życie kulturalno-oświatowe, ale... komu się chce dziennie robić 4 a nawet 6 km w obie strony?

Różni wczasowicze tu przebywają. Młodzi dwudziesto-kilko letni ZMP-owcy, kobiety tkaczki, starsi 60 letni robotnicy, których przedstawicielem jest górnik — Klimek.

Jadąc na odpocznik do Szklarskiej, by nabrać sił do dalszej pracy przy warsztacie tkackim, przy frezarce, w sztolni, obcywali sobie, że siadają do książki, że dwutygodniowy pobyt wolny od pracy poświęcą w części na doszkalanie. Jadąc do Szklarskiej wiedzieli, że zetkną się z robotnikami różnych zakątków Polski, przypuszczali, iż w gawędach wieczornych podzieli się swymi doświadczeniami, zdobędą nowe od innych. A tymczasem...

Klimek nie dowiedział się o podjęciu Czynu przez żaloga kopalni, w której pracuje. Józef Studziński wiceprzewodniczący koła ZMP przy łódzkiej zakładach przemysłu włókiennego im. Marchlewskiego nie wziął przez cały czas pobytu książki do ręki. I jest rozczarowany. Po prostu narzeka na „takie wczas”. Nie można mu tego wiać za złe, skoro chce wrócić do swego zakładu pracy z czymś więcej, niż wyjeżdżał. Chce wrócić nie tylko z nowymi siłami, ale także z nową wiedzą, z nowymi doświadczeniami zdobywanymi we wspaniałych dyskusjach aktywistów ZMP-owskich innych zakładach pracy w Polsce. Chce jednocześnie śledzić bieg wydarzeń w swojej fabryce. Tymczasem przez dwa tygodnie urywa się jego kontakt z życiem zakładu, z życiem organizacji. Tak, jego koledzy przeprosili zapewne już ostatni rozdział WKP (b). Studziński zapowiedział, że wróci już

## W poprzednim numerze:

W NUMERZE 30 (261) TYG. „WIES” Z DN. 30.VII.50 r.

Stanisław Cieślak — Rozpoczyna wielką bitwę klasową. Jan Maria Giges — Wywrotowcom waszego porządku. Min Bek Huk — Powróć do ojczyzny. Stefan Wilanowski — Precz od Korei. Hanna Kirchner — W poszukiwaniu człowieka. Seweryn Skulski — Głos czytelnika. Włodzimierz Słobodnik — Pieśń o Łodzi fabrycznej. Marian Kozłowski — Aby było jasnie. Stanisław Kowalewski — 125 procent. Kazimierz Wyka — Skąd i dokąd? A. Wasilew — Dymitrow o sztuce. Kazimierz Kąkol — Współzawodnictwo i racjonalizacja. Mieczysław Lech — Socjalistyczna pedagogika. Stanisław Krakowiak — Na północnym Kaukazie. Jerzy Skórnicki — Czeska powieść proletariacka. Wiesław Wiejski — Kobieta działaczka. Piotr Chmura — Życiorys społeczny. Fakty i zdania. 9 ilustracji. Stron 8.

z przerobioną historią. A jednak jej nie przestudiował.

Tuż przed wyjazdem rozmawiałem przypadkowo z robotnicą sortowni jednej z łódzkiej fabryk. Usłyszałem, iż nabrała nowych sił, że odpoczęła, warunki były naprawdę dobre (mieszkała w „Sanie”). Ale mimo wszystko czas spędziła nie pożytecznie. Dlaczego? Nie było żadnej imprezy ani pogadanki politycznej, kina obyczajowego, nie czytała nawet codziennych gazet, bo nie dochodzą. Na wycieczki, nie mogła chodzić, ze względu na swój stan zdrowia. Pozostawało jej więc wysiadanie przed domem wczasowym na słońcu i... nuda. Nie mogła przeczytać ani jednego tygodnika czy miesięcznika dla włókiennicy, które tak pilnie w Łodzi śledziła. Nie dochodzą.

Jak się po tym dowiedziałem robotnica ta była bezpartyjna. A więc nie tylko partyjni, ale i bezpartyjni odczuli odwręcenie się od swego zakładu pracy.

W każdej fabryce, kopalni istnieją ognia łączące robotników w zwartą masę, są miejsca stałych kontaktów ludzkich. W fabryce zepala robotnika partia i organizacja społeczna. Życie ma swoje tętno, są terminy wykonania planów wyznaczonych przez kolektyw robotniczy, są normy. Każdy z pracujących w fabryce, doskonale orientuje się w wydarzeniach, czyta gazety i książki, uczęszcza na wykłady kursów szkoleniowych, słucha radia.

W Szklarskiej Porębie Średniej natomiast jest odwrotnie.

Odnosi się wrażenie, jakby czas nagłe zatrzymał się, zamari na okres wczasowego, dwutygodniowego pobytu. W tym czasie jednak, już poza rogatkami ośrodka FWP, gdy grono wczasowiczów wygrzewa się w słońcu beczynnie, dzieje się w kraju i świecie ważne wydarzenia, dokonuje się wiele zmian. W Zgorzlecu położenie pieczęci pod wicepomny akt, zatwierdza granice na Odrze i Nysie, utrwalając przyjaźń między Ludową Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Robotnicy kopalni, hut, fabryk podejmują apel kolejarzy Tarnowskich Gór wzywający do Czynu Lipcowego. Na Korei lud walczy przeciw kapitalistycznym ciemiężcom o wolność.

Mogłoby się to wydać paradoksem, a przecież te wszystkie wydarzenia przechodzą niezauważalnie ponad całą gromadą robotników, spędzających w Szklarskiej Średniej wczas.

Dzieje się tak dlatego, że nie zorganizowano odpowiedniego życia kulturalno-oświatowego, że zawiązane zostały nadzieje robotników na znalezienie w bibliotece domu wypoczynkowego dobrej książki, że w świetlicy nie doszukasz się świeżej gazety.

Świetlica na cztery domy. Jeden, oddalony od „Wisły” i „Sanu” o 150 metrów, od „Krokusów” o czterysta, mieści się w „Wersaliku”. Jest pianino, na którym z tego turnusu nikt nie umiał grać. Stoi więc beczynnie wraz z popsytnym radiodiodbiornikiem. Na stoliku wala się zdekompletowane szachy i warcaby, obok gazety z ubiegłego tygodnia.

To wszystko, zapytacie? Tak. Jeszcze 20 — 50 tomowe biblioteczki przy domach i to nie zawsze o właściwym doborze książkowym. A przecież idzie o to by 200 robotników znalazło tu dobrą beletrystykę. Biblioteczki marksistowskie są rzadkością.



U wodospadów Szklarki

Patrzając na to wydaje się, że po prostu zapomniano, iż robotnikowi należy się coś więcej niż dobre jedzenie, czystość i przyjemne pokoki. Zapomniano, że wczas to nie tylko zdobywanie sił fizycznych, a życie robotnika nie tylko normy produkcyjne. Życie, które się tu toczy, winno mieć choć w części związek z całością krajowych i światowych wydarzeń. A tego związku nie ma wcale. Życie zaś polityczne... zamario całkiem.

W fabryce życiem kieruje partia, jest nauczycielem każdego robotnika. Tu wczasowicze chodzą w pewnym sensie samopas, pozostawieni samym sobie. Nawiązywane kontakty, są wynikiem spotkań przy obiedzie, nie zaś gawędzie wieczornej albo dyskusji zmierzającej do wymiany doświadczeń. Ani jednej pogadanki o treści społecznej, ani jednej dyskusji, ani jednego wieczoru prasowego czy prelekcji o najważniejszych wydarzeniach w kraju i na świecie! Do gazet znajdujących się w świetlicy, a noszą-

cych datę ubiegłego tygodnia, wczasowicz nie zagląda.

Prawie wszyscy robotnicy, między nimi tow. Klimek i robotnica sortowaczka liczyli na to, iż wolny czas spędzą na powietrzu w atmosferze dobrej książki, lub popołudnia literackiego. Lecz zawiedli się, mimo że na zjazdach literackich padają słowa, iż tworzy się nową kulturę, nową książkę. Mimo, iż ci sami literaci chodzą po Szklarskiej Porębie, piją kawę i tworzą z daleka od środowiska, dla którego piszą. Ba, nawet nie pomyśleli o skromnym wieczorku literackim dla robotników. A ci mają moc czasu i dość miejsca by usiąść, wciągnąć książkę do ręki i czytać, zapoznawać się z wydarzeniami z lamów gazet codziennych, posłuchać doświadczeń drugich robotników i podzielić się z nimi własną wiedzą fachową w dyskusji na wieczornej gawędzie, posłuchać nowych poezji i prozy na wieczornym literackim. Cóż jednak robić, gdy tego brak, gdy zamari w Szklarskiej czas, gwałcąc potrzebom kulturalnym robotnika.

Tow. Klimek na odjeźdźnym wyraził chyba w imieniu wszystkich wczasowiczów nadzieję, że następnymi robotnikami nie mogłoby być inżynierów i włókienników, zastaną w „Wisła” i „Sanie”, w „Wersaliku” i „Krokusie” tętniące życie kulturalno-oświatowe.

Tow. Konrad Klimek skierował pod adresem kierownictwa Ośrodka FWP na Szklarską Średnią kilka życzeń. Życzenia te skrzętnie spisałem:

— Czy nie można by w oparciu o instruktora kulturalno-oświatowego organizować stałych pogadek na tematy społeczne i kulturalne?

— czy dla aktywistów partyjnych, którzy na czas wczasów przerywają szkolenie ideologiczne w zakładzie pracy nie mogłoby instruktor na miejscu takiego szkolenia organizować?

— czy nie możemy wejść w kontakt z literatami i dziennikarzami, którzy tłumnie kupują Dom Literatów i Dom Zdrowia Dziennikarzy w Szklarskiej, by urzadzili oni dla robotników wieczory literackie?

— czy nie możnaby świetlicy, chociaż tej jedynie na cztery domy zaopatrzyć należycie w sprzęt do gier i zabaw?

— czy i radiowęzeł jeleniogórski nie mógłby w ramach czynu lincolnego zradiofonizować domów: Wisła, San, Krokus itd.?

— czy rozdzielnia gazet nie byłaby w stanie dostarczać regularnie usprawniając kolportaż, codziennie świeże gazety ze wszystkich zakątków Polski?

— czy kierownictwo ośrodka nie mogłoby zarenumerować czasopism i periodyków zawodowych oraz fachowych?

Chyba to wszystko można zrobić. TADEUSZ SZEWEERA

JERZY K. MACIEJEWSKI

## POMÓŻMY ZNALEZĆ WŁAŚCIWĄ DROGĘ



Uczniowie Państwowego Liceum Elektrotechnicznego we Włochach przy montażu miernika elektromagnetycznego

7-klasowa szkoła podstawowa w tej nadmorskiej osadzie jest szkołą zbiorczą, tzn. w klasach starszych obsługują także okolice gromady. Gmina zresztą jest nie duża: ma 6 gromad i niecałe 2 tys. mieszkańców. Dzieci jednak, jak wszędzie w naszym kraju, jest zażalenie.

Tutaj, na odcinku polskiego morza między Kołobrzegiem a Koszalinem, spotkali się i żyją zgodnie zarówno mieszkańcy Wileńszczyzny, jak i Kieleckiego, Warszawiaci, Pomorzanie i Wielkopolanie. I w tym wspólnym tygłu zaciera się u młodego pokolenia nawet dzielnicowy niegdys akcent.

Kierownik skończył mówić. Sala oklaskami pokwitowała jego przemówienie. Na scenę, tzn. na tych parę metrów kwadratowych przed katedrą, wystąpiło 6 dziewczynek w strojach ludowych. Tańczyły pod przyspiew całej sali. Akordeonista jeszcze milczał. Przysunął się do grupy siedmioklasistów i pierwszego z brzegu spytał, co zamierza zrobić po opuszczeniu szkoły?

— Pójde do szkoły mechaników lotniczych — odparł zdecydowanie.

— Co wpłynęło na ten wybór?

— Tu, nad wybrzeżem, często latają samoloty. Więc jabyłem chciał być tym, kto czuwa, by samolot, zanim uda się w swój trudny lot, był niezawodny, by działał jak zegarek.

Proszę zwrócić uwagę na sposób sformułowania jego wypowiedzi, którą zanotowałem niemal dosłownie. Był to wyraz dojrzałej, przemyślanej decyzji, być może: wynik rozmów z wychowawcami.

— A ty — spytałem innego, któremu długie, szczupłe ręce wystawały z przykrótkich rękawów wyszarzałej kurtki.

— Uśmiechnął się niepewnie. Rozejrzył się wokół. Koledzy wzrokiem zachęcali.

— Ja chcę być sprzedawcą w dziale elektrotechnicznym w PDT.

— Dlaczego akurat w tym dziale?

— Bo kiedyś zwiadałem szczebiński PDT, widziałem, jak sprzedawca wypróbowywał wobec każdego nabywcy żarówkę: przytknie do takich drucików i żarówka zabłyśnie. Znaczą się — dobra. A obok zaraz inny od radia: tu pokręci, tam ureguluje i radio gra. Cały świat gra, mówi, śpiewa.

— Hm — powiedziałem cokolwiek rozczarowany — to właściwie funkcja raczej mechaniczna.

— O, nie, panie — chłopak ożywił się nagle. — To nie dlatego. Ale ja to myślałem sobie, że ten, co to sprzedaje, to jest... jakby tu powiedzieć... no tym ostatnim...

— Ogniwem — odpowiedziałem, podchwytując jego myśl.

— Właśnie. Ogniwem między wytwórniami a nabywcą. To wielka rzecz oddawać w ludzkie ręce produkt już skończony, mający służyć pracy i rozrywce człowieka.

Nie wierzyłem swoim uszom. — Ile ty masz lat?

— Czternaście kończę w lipcu. A gdyby ten chłopak o oczach szarych i twarzy o matowej cerze, o nieregularnych rysach, na pozór typowe chłopskie dziecko, zobaczył na Targach Poznańskich olbrzymie turbiny okrętowe? Gdyby zobaczył wyładownia wielu tysięcy wolt lub turbiny Roznowa dające siłę i światło tysiącom wsi, fabryk, setkom tysięcy mieszkań ludzkich — to jakie nowe, nieprzeczuwalne horyzonty otłsnily by jego chłopieca, świeża, chłonna wobra: „nie”? I jakimi drogami potoczyłoby się jego przyszłe życie?

Nie bez kozery stanąłem obok VII klasy. Szybkie pytania i odpowiedzi:

— Czym chcesz zostać?

— Oficerem.

BRONISŁAW CIRLIC

„Każdy komu gmach (narodowy)... jest drogi, odrzuci na bok pedzel artysty, a pochwyli skwapliwie kielnię murarską.” Słowa te nie zostały zaczerpnięte z jakiegoś współczesnego nam oświadczenia. Wypowiedziała je blisko sto lat temu postępową pisarką Karoliną Svetla, której pełne uwielbienie strofy poświęcił wybitny poeta czeski Jaroslav Vrchlicky, a nad której 30-to tomowym dorobkiem literackim współczesna powieściopisarka czeska — Maria Pujmanowa zawołała: „Cóż to za wielka kobieta!”

Joanna z Rottów Mużakowa — bo tak się naprawdę nazywała Karolina Svetla — urodziła się w Pradze, 24 lutego 1830 roku. Kształciła ją w szkole niemieckiej i wychowywano przy pomocy zgermanizowanych Francuzek — wychowawczyń. Nie stumiło to jednak bujnego rozwoju jej czeskiej świadomości narodowej. W Wiosnie Ludów widziała zapowiedź nowych czasów, rok 1948 tak zachowała w swej pamięci i przekazała nam w swych utworach. Wyszła za mąż za nauczyciela muzyki i rysunku — Piotra Mużaka. Okolice jeszteskie w południowych Czechach — to jego strony rodzinne. Był to zakątek, który mimo ówczesnego zalewu niemieczyzny, zachował nieskażoną czeskość i żywe, najlepsze, wolnościowe husyckie tradycje. Tamtejsi ludzie nauczyli Karolinę Svetlę życia. To oni nauczyli ją nienawidzić ucisk i wyszły czowieka przez człowieka, przekazali jej swoje umiłowanie wolności i równości ludzi. Oni nauczyli ją słów: „Ziemia niechaj będzie podzielona pomiędzy chłopów według członków ich rodzin. Fabryki dla tych, którzy w nich pracują. Handel też powinien przejść do rąk społeczeństwa. Tylko w ten sposób pozostanie kres ziemi ustrojowi obecnemu, gdzie drapieżność jednostek pochłania siły setek obywateli, a chciwość kilkunastu wyzerpuje dobrobyt całego kraju. Nadwyżki dochodu społecznego trzeba zużyć na szpitala, sanatoria, szkoły i inne dobroczynne i nieodpłatne instytucje.” Lud podjeszteski pomógł jej również w tym, że wcześniej przestała się ludzi obrazem jakiegoś ponadklasowego społeczeństwa, zrozumiała znaczenie ludu, dostrzegła nowy dla niej świat — robotników i biedoty wiejskiej, a w usta jej włożył własne słowa, westchnienia i życzenia: „Chyba już na zawsze przeszły te czasy, gdy ten był pierwszym, kto najwięcej miał”, O, wyginą panowie, że po nich śladu nie zostanie potomnym... Nie będziemy im współczuć, wszak nie są naszymi bliźniymi!”

Choć Karolina Svetla z pochodzenia była mieszczką, jednak tematykę niemal wszystkich swych utworów czerpała z życia wsi podjeszteskiej i dopiero poprzez Podjesztę zaczęła widzieć Pragę i

jej mieszkańców, szukając wśród nich bliższego sobie świata: Pragi z jej bohaterami dni Wiosny Ludów, ludzi walczących o lepsze jutro, potępiając równocześnie współczesne sobie, egoistyczne, ograniczone, zasklepienie w swoim światku, wynarodowione mieszczaństwo.

Z takim poglądem na świat, ludzi i ich sprawy wyrasta w zaranu czeskiego odrodzenia. Debiutowała w r. 1858 w almanachu „Maj”, wokół którego gromadziły się najbardziej postępcy pisarze czeskiej ówczesności. Obracała się w kręgu takich pisarzy, jak Rudolf Mayer, Josef Barak, Jan Neruda, Bożena Nemcowa. Tworzyła blisko czterdzieści lat, kładąc wielkie zasługi dla rozwoju czeskiej świadomości narodowej. Umarła jesienią 1899 r.

Karolina Svetla doczekała się jeszcze za życia wysokiej oceny swego dzieła. W Polsce była także ceniona i tłumaczona, a za życia została kłaniana powstaniem polskim 1863 roku odwzajemniano się jej szczerą sympatią. Już w r. 1882, w ramach Wydawnictwa Dzieł Taniach ukazało się tłumaczenie „Z rodzinnej kroniki”, dokoncane przez Bronisławę Grabowską? Potem przyszła „Oczarowana” i „Z naszych walk i bojów” w tłumaczeniu Marii Czesławskiej (r. 1900) oraz powieść „Ostatnia Pani Głogowska” (r. 1903) i inne. W ten sposób wbrew sądowi Janiny Preger („Nowa Kultura”, Nr. 10) przynajmniej co do dzieła Karoliny Svetlej nie istnieje „żenująca luka w naszej wiedzy” i społeczeństwo naprawdę miało okazję dowiedzieć się o jej prozie.

Ale trzeba tu naprawić inną krzywdę. Mianowicie w Polsce ówczesnej — jak to się zresztą w ogóle często zdarzało — umyślnie wykrzywiano sens społeczny i polityczny jej dzieła. Dla przykładu przytoczę słowa Bronisławy Grabowskiej z przedmowy do wspomnianego już przekładu z r. 1900: „Nie pochwalając wybrków socjalizmu i krancowej demokracji, przed którymi śmiało młodzież czeska ostrzegła, była demokratką w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.” Wniosek zawarty w drugiej części zdania to już sprawa B. Grabowskiej, ale stwierdzenie początkowe to czyż jego wymysł. Żeby się naccnie o tym przekonać, wystarczy sięgnąć chociaż do wydanej w polskim tłumaczeniu „Dzwoneczkowej Królowny”.

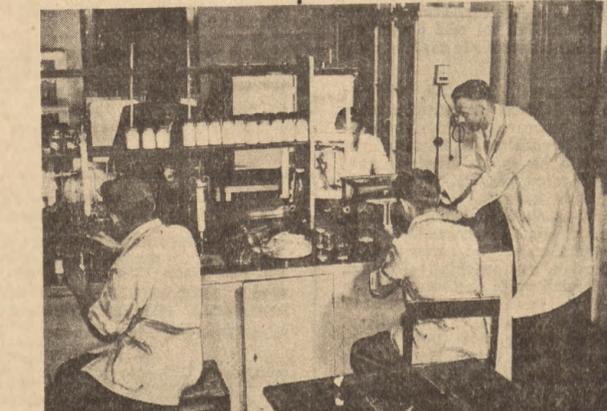
Na marginesie recenzji należałoby poruszyć jeszcze raz palącą sprawę poprzedzającą wydać książki-kolektywów przedmowa, omawiającymi twórczość autora i wprowadzającymi w treść książki. Nie zawsze bowiem czytelnik orientuje się łatwo w gąszczu manier artystycznych dawnej epoki.

„Dzwoneczkowa Królowna” nie przedstawia pod tym względem specjalnego labiryntu. Pod baśniowym nieco tytułem, pod osłoną staromodnej przesady w porównaniach, naiwności sylwetek psychologicznych bohaterów, wzniosłości, odkrywamy szybko pożyteczną i miłą książkę, mówiącą o sprawach realnych i wiecznie żywych — o walce przeciwko ciemności i walce o lepsze życie. Co prawda autorka odbiega tu nieco od swego zwyczaju wybierania bohaterów powieściowych spośród „ludzi prostych”: chłopów czy drobnych mieszczan i snuje romans wśród bohaterów „z wyższych sfer” mieszczańskich i arystokratycznych Pragi, jednak przy akompaniamencie dalekich ale sugestywnych odgłosów powstania chłopskiego w Czechach 1775 roku i Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wachlarz poruszonych zagadnień jest bogaty i szeroki. Mówi nam Svetla przekonująco o eksploatacji robotników i chłopów, o ciemnych machinacjach jezuitów i ich podstępny hamowaniu postępowych dążeń, mówi o przebudowie świata, pochwała zwolenników Rewolucji Francuskiej, walkę o polepszenie doli wyzyskiwanych, dręczonych głodem i biciem. Chocześnie obudę, zaklamanie w stosunkach towarzyskich wyższych sfer, powierzchowność religijna, a literaturę w rodzaju „Rycerzka Niepokalanej” nazywa „świadectwem, na jak niskim poziomie oświaty spadł wówczas (150 lat temu!) naród czeski, skoro podobne rzeczy cierpliwie przyjmował”. Ale jednocześnie kreśli obraz życia związanego z ludem, prześladowanego przez wyższą hierarchię księcia, glorfikuje oświatowca ludowego i poświęcenie dla ludu.

„Dzwoneczkowa Królowna”, mimo pewnej staromodności manieri artystycznej, reprezentuje rzetelne postępcze wartości ideowe. Opowiedzenie się po stronie walki z absolutyzmem i jezuityzmem, ukazanie głębokich walorów moralnych ludu czeskiego, potępienie i wyszydzenie wynarodowionej czeskiej burżuazji i arystokracji, szczerą sympatią dla ówczesnych dążeń rewolucyjnych — oto jej najwybitniejsze zalety. Państwowy Instytut Wydawniczy dorzucił ceną pozycję do naszego zasobu, jakże dotąd szczupłego, przekładów z klasyków prozy czeskiej.

BRONISŁAW CIRLIC

\*) Karolina Svetla. Dzwoneczkowa Królowna, Warszawa, 1950, przekład Zdzisława Hierowskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 219.



Młodzież w laboratorium Państwowego Liceum Mleczarskiego we Wrześni pod Poznaniem

ANIELA DASZEWSKA

# MŁODZIEŻ ZMP BUDUJE NOWĄ HUTĘ

Idę na bloki młodzieżowe. Zdaleka widzę blok XVI otoczony strażą czerwonych standardów, wetkniętych w zwalony piachu i ziemi. Na długim transparentie widnieją białe litery napisu: „Tu 51 Brygada — kolega Ozanski i Szczygło ustanawiają szczytowe osiągnięcie w młodzieżowej murarce zespołowej”.

Zetempowscy murarze Nowej Huty biją rekord młodzieżowych brygad Muranowa! To oczywisty sprawdzian wartości szkolenia zawodowego na budowie „Nowej Huty”.

Trzy miesiące zaledwie jak przyjechali do Ochotniczych Zetempowskich Brygad na Nową Hutę, jako niewykwalifikowani robotnicy, dziś budują 100 — tysięczne, socjalistyczne miasto, nowy punkt geograficzny na mapie 2.800 chłopców trzech zetempowskich brygad ochotniczych szkoli się na murarzy, monterów, elektrotechników, szoferów, mechaników, ślusarzy, zbrojarzy, betoniarzy, betoniarzy, cieśli, stolarzy... którzy będą stanowić przyszłą świadomą swą historyczną rolę załogę robotniczą nowego, zbudowanego przez siebie kombinatu przemysłowego. — „To nasz Komsomolsk” — mówią chłopcy.

— Na stanowiska! Rozlewać wapno! Zaczynamy! — krzyczy przewodniczący zarządu ZMP — Brygada 51, kol. Słysz. Głos jego ginie w zamieszaniu na obszernej budowie. Biega więc jak w ukropie. Włosy w mokrych strakach opadają mu na spoczone czoło, pot zlewa twarz i kolnierzyk zielonej koszuli. — „Lina — cholera! nawalila i kolega Słysz dopiero co wyskoczył za to uszkodzone betoniarce, która gorączkowo remontowała obslugę maszyn.”

— Tyle czasu! Tyle czasu nadarmo! — denerwują się chłopcy. Betoniarce nareszcie ruszyły! Z hukiem obraca się jej bęben jak bezustanny kotłowni.

— Wody! Ela więcej wody! Rób rzadką zaprawę! — wola kolega Gębski z obsługi maszyn do koleżanki Skowronkówny, praktykantki ze szkoły mechanicznej we Wrocławiu. Ela odkręca kurek hydrantu.

— Piasek! Piasek! Wapno! Cement!

Nowa lina podciąga kosz, wysypując porcję wapna, piasku i cementu do bębna, który skolei wylewa zaprawę do skrzyni. Koledzy z grupy Ozanski i Szczygło ładują ją do taczek szybko i sprawnie i wiozą na budowę po rozłożonych deskach.

Młodzi murarze podreżni i pomoc rozsypani tyraliera na murze rozlewają szufkami wapno. Inni rozgarniają, podają i układają cegły. Cegła przy cegle.

— Waskie fugi! Waskie fugi! — wola kolega młodszy „Bliziej kolego, bliżej. Nie zmieszaj drugiej cegły. Jeszcze bliżej. I mocniej!” Stuknąłby butem, albo cęga, jak nie chce wejść! O tak! Nigdy reka! Odgnieciusz!

Patrze, kto tak w tępie karabinu maszynowego instruuje młodych, niedoświadczonych jeszcze murarzy. Kto? To przecież warszawski murarz

z Mariensztatu, Poręcki Wacław, który z Krajewskim i Religą zaczął pierwszy stosować w Polsce „system trójkowy” w murarstwie.

Co tu robicie? — pytam. — Nie widzicie? Muruję — śmieje się. — Przyjechaliśmy tu w czterech z Głównego Inspektoratu Usprawnień jako instruktorzy. Chodzi o podniesienie poziomu pracy młodzieży na budowie i zapoznanie jej z najnowszymi

Winkiel, kolego, winkiel! Nad winkiem schyla się starszy, szczupły majster w kapeluszu na głowie. Na jego opalonych nagich plecach błyszczą drobniutkie krople potu. Murarz poprawia cęglę, ustawia winkiel. Ogarnia wapno kielnią.

— To jest majster Wadowski — mówi Poręcki — opekun młodzieży murarskiej na Hucie. Wybitny wyczynowiec. W maju zeszłego roku

Nowej Huty. Dzisiaj szkoli tu nowe kadry młodych murarzy... — Bliżej bracie! Bliżej winkla! słyca jak poprawia cęglę kielnią przez młodziutkiego murarza.

— Ciągniemy 1.100 proc.! — 1.100 proc., chłopcy! — rozchodzi się z ust do ust podawany komunikat z frontu budowy. Błysnęły oczy radością. Uśmiechy, zaświeciły na młodych twarzach zatoskanych przed chwilą z powodu awarii: — 1.100 proc. normy, chłopcy, 1.100 proc.!!!

Młodzi murarze Nowej Huty pobili młodzieżowy rekord Polski w murarce. Dwa zespoły 12 osobowe położyły 34 tysiące 728 cegieł w 8 godzin — uzyskując 625 proc. normy.

Bezpośrednio po robocie bohaterzy dnia ubrani w granatowe robocze kombinzony pomazzerowali z czerwonymi szatarenkami zameldować o swoim zwycięstwie sekretarzowi Komitetu Partyjnego.

Sztafeta młodych murarzy — przystaje na szosie dając drogę przejeżdżającym ciężarówkom. Majster Wadowski z godnością przypina znaczek przodownika pracy — emalowaną gwiazdę z podcibną Pstrowskiego.

— Zapomniałbym na śmierć! A przecież kiedy jak kiedy, ale w takim dniu, kiedy moi uczniowie ustanowili rekord młodzieżowy Polski — godzi mi się go przypiąć...

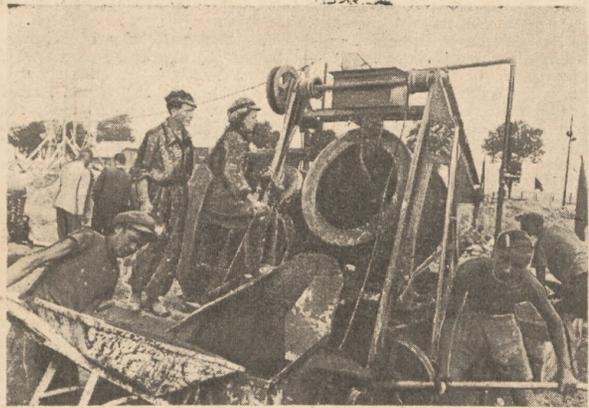
— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrużąc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiały len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczeniu 22 lipca jako odpowiedź imperalistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperalistom — powtarza, przekrzykując wzmożony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrużąc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiały len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczeniu 22 lipca jako odpowiedź imperalistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperalistom — powtarza, przekrzykując wzmożony w tej chwili warkot motorów.

Aniela Daszewska



Młodzież ZMP przy budowie Nowej Huty.

mi metodami, z wianiem wielorodowym systemem taśmowym. Trzeba całkowicie przejść na pracę zespołową. Przez młodzież pójdzie to na całą budowę. Nowa Huta musi być budowana nowoczesnym sprzętem i nowoczesną metodą!

ustanowił rekord Polski — 13 tysięcy 946 cegieł, czyli 38 m. sześć, w 8 godzinach. Został odznaczony przez Prezydenta Sztandarem Pracy II klasy...

W lipcu zeszłego roku Wadowski położył pierwszą cęglę na budowie

## SZCZEGÓŁ TEŻ MA WYMOWĘ czyli o Czynie Lipcowym w naszej wsi

Ten rów przecinający boczną drogę, prowadzącą do sześciu gospodarstw (w tym do dwóch bogaczy wiejskich), jeżeli rok był bardziej mokry, stał się niebezpiecznym. Na skutek zruszenia ziemi na drodze po obu brzegach rowu, płynąca woda stała się drogi unosząca i z czasem na tej drodze powstało niewielkie jezioro, głębsze od rowu. Latem przejazd był męką, a zimą katastrofą wielką.

Ten przejazd gniewał mnie od dawna. Jeszcze przed ostatnią wojną namawiałem sąsiadów ażeby bardziej zabrać się i zrobić sobie ludzki wyjazd bo to i nie ładnie, i nie przystoi tak się na tym przejeździe mordować. Ten i ów machnął reka.

Nie dawałem za wygraną, poszedłem do urzędu gminnego, tłumacząc jak to dla nas nieszczęście jest, ten przejazd przez rów na drodze. Przedwojenny wójt W. Kempinski siedemnasto hektarowy gospodarz, rozłożył bezzadnie ręce i odpowiadał: — Ja wam nie pomóc nie mogę. Urywajcie tam sobie głowy, jak chcecie, nas to mało obchodzi. Na rury pieniędzy wam nie damy. Wszyscy tam od lat są zadowoleni, tylko wy coście się gdzieś ze świata przywlekli, dzwignych wygód szukacie. A może wam tam asfalt położyć i limuzynę podarować. Co?

Dalej nie poszedłem. Wiadomo, że wójt był wszystkim u wyższej władzy a chłop czegoś domagający się ponad głową wyjął, był nieprzyjemny. Kłamał jak inni i dalej jeździłem przez to jezioro głębokie na drodze.

Kogoż ta droga boczną mogła obchodzić. Pierwszy koło niej gospodarz szesnastohektarowy, Cyrankowski był nie byle kim. Opicał stół „Mały Dziennik” z Niepokalanowa, zachwycał się ideją pałkarzy, walał czechy stragany Żydów, którzy na suchy chleb kilka groszy robili przy dniach targowych, a ręce innym bogatym Żydom podawał, bo często ich pożyczek potrzebował i pierwszy takiemu czapkawał, stojąc nieraz u drzwi. Tą drogą Cyrankowski sam rzadko przejeżdżał; ze zbożem, opalem, nawozem i ziemniakami przejeżdżał jego parobcy. On tylko sobie stanął opodal, posunął białą czapkę na tył głowy, złożył ręce z tyłu i pokrzykiwał — Gamoniu, ciamajdo, jak jedziesz! Ciebie batem a nie konia! Jak mi wóz polamiesz, to go... dostaniesz a nie zapłatę roczną!

Pani Genowefa Masztak, także tą drogą nie jeździła, dzierżawiąc stół swoje 18 ha co rok innym dzierżawcom. Miała pozatym 10 ha lasu i dodatkowo 5 ha łąki. Mówiła: „pani Masztak”, bo pan Masztak mało miał tu do gadania, zajęty kierownictwem szkoły i „cudami” podczas wyborów. Dzierżawcy tylko wzmuszali ramionami na wspomnienie o potrzebie naprawienia tej drogi. Może i mieli rację dowodząc, że „ja dziś tu — jutro tam”. A reszta? Czy taki M. Mantyk co 87 lat liczył miał brać za szpadel? O Suskim to już i mowy nie było. Mogło sobie zboże na polu dojrzewać, mogła się krowa cieleć, świnia prosić, ziemniaki na polu chwastami zarastać — on musiał być w poniedziałek na targu w Lipnie, we wtorek na targu w Kikole, we środę na targu w Skempie,

a we czwartek na targu w Czernikowie. Tylko nie koniecznie mu się to jakoś składało, gdyż i w Lipnie znów przypadały na dzwarki i to go złościło, że jednocześnie w Lipnie i Czernikowie nie mógł być. Nie był to żaden handlarz — nałóg gapienia się na przytargu i dobijanie ceny, był jego całym zadowoleniem.

Ostatni i szósty obywatel przejeżdżający tą drogą, to chyba już najweselszy i najciekawszy okaz z pomiędzy nas tu sześciu zamieszkałych. Nigdy się niczym nie przejmował, zawsze pogwizdujący i wesoly, na swoich jedenaście hektarach. Gdy ludzie już siali, orali, sprzątałi, on jeszcze miał w izbie, w której sypiał, dziurawymi kocami okna pozasłaniające i spał w najlepsze. Krowa beczy, świnia kwiczy a on śpi i niczym nie przejmując się. Ludzie na południe wyprężają konie, on łapie wóz i jedzie w pole. Potem sobie leży w cieniu drzew. Gdy już słońce czerwienieje, schylając się ko zachodowi, on zrywa się do roboty.

Rozkoszy ten człowiek nie miał, biedusia aż kwiczała, ale miał dwa białe szale, które naraz wkładał, niech ludzie widzą, że ma. Miał rękawiczki, w których obornik na polu rozrzucał. Miał kapelusz, który na bakier nosił i o różę zawsze się wystratał dla przypięcia jej sobie, gdy mu wypadło wyjść z domu. Dziś leciał za pożyczką soli, jutro zapalek, innego dnia za pożyczką nafty, grabi, młotka, worka, gracy, lejców. Nigdy niczego nie odnosił.

Co mogę sam o sobie powiedzieć? Chciałem mieć dobry wyjazd, ale po za drogą, na której jezioro stało, miałem i inny wyjazd, którego żaden z sąsiadów nie posiadał. Mówiłem sobie zatem: jak wam dobrze, dobrze i mnie.

Jakoś na początku czerwca b.r. redaktor „Ziemi Pomorskiej” z Bydgoszczy ob. Kołodziejczyk jedzie do mnie w związku z wyróżnieniem mnie przez Instytut Czytelnika w „Opisie Mojej Wsi” i musi przejeżdżać właśnie przez to jezioro na drodze i zaraz mnie karci za to drogę. Po odjeździe Ob. Kołodziejczyk otrzymuje list z jednej redakcji z Warszawy, w którym zapytują mnie, jak i czym myślimy w Karnikowie uczcić pamięć w historii naszej dzień 22-go lipca?

Sytuacja teraz zmieniła się. Pani Masztak posiadająca 18 ha, kłnie na „duże” podatki, rezygnuje z gospodarstwa, ale ziemi nie sprzedaje, bo „wojna tój, tój a po wojnie znów będzie”.

Stuchajcie, moi kochanki! Tak dłużej być nie może. Nie będziemy dłużej tonąć na tej drodze. Zbliża się rocznica Manifestu Lipcowego. Uczcijmy ten dzień czynem, którym będzie nabycie rur i nawiezenie ich ziemi. Zgodzili się z wielkim zadowoleniem. Już w dniu 11-go lipca cztery pary koni zwoziły ziemię a 14 ludzi pracowało z entuzjazmem. Zaczęliśmy pracę o ósmej rano a przed piątą po południu już jezioro na drodze zniknęło. Nikt więcej na tej drodze tonąć nie będzie, konie nóg łamać nie będą i wozów nikt łamać nie będzie.

Cyrankowski wyjechał pomóc swoją parą koni dość późno, leniwie i jakby pod przymusem. Bo poco to wszystko, przecież jego tata tamtędy przez to jezioro przejeżdżał i setnych lat się doczekał. Ale wyjechał, zamysłony wiedząc o tej białej czapce wiszącej na kolku w kuchni koło obrazu, w której za dawnych, dobrych czasów stał opodal tej drogi i dął się na parobków: Jak jedziesz gamoniu, jak mi wóz polamiesz to dostaniesz g... a nie zapłatę roczną!

Biała czapka... przysiadł ją kurz i tylko żałost w sercu Cyrankowskiego budzi, jak to dawniej dobrze było.

Nawet sam Rejmer wyjechał parą koniami i to bez rękawiczek i dwóch szali na swojej szwi. Wszyscy dociekowali podczas pracy i omawiali sprawy społeczne, tylko ci dwaj milczkiem robili, żli, że dziś takie „dziady” małorole jakimś czynami lipcowymi, tak jak Zawicki, Kuligowski, Wiśniewski, Zenoberg, Głowacki i Karbowski, swoją uchwałą i postanowieniem i ich zmuszając do uczczenia manifestu, który z ich parobków ludzi porobił, dał im ziemię a oni dziś muszą poniżać swoją godność pracą.

Nie wiem czy w przyszłości będę wyróżniony w jakim konkursie i nie wiem, czy w przyszłości jako redaktor zawita do naszej dziury, ale wiem, że już nikt na ten przejazd narzekać nie będzie.

W. S.

## „MALUM NECESSARIUM”

W ostatnim (30) numerze „Tygodnika Powszechnego” zamieszczony został znamienny lakoniczny artykuł redakcyjny z okazji 6 rocznicy wyzwolenia. Rozmiar i treść tego artykułu wyraźnie świadczą o tym, jak niechętnie mówi „Tygodnik Powszechny” o problemach, którymi żyje cały naród. Niemniej zawarte w tym artykule zdania niewązownie określają „historiozoficzne” i polityczne stanowisko jego autorów.

Nawiązując do sytuacji historycznej, w której zrodził się Manifest Lipcowy, artykuł głosi: „Nie łatwo było wówczas zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów, przemoc stare nawyki myślowe i uczuciowe i zrozumieć, że przed krajem otwiera się tylko jedna, uwarunkowana naszym położeniem geopolitycznym (podkr. nasze) droga pokojowej odbudowy, t. zn. droga ścisłego zbliżenia między Polską a ZSRR”.

To w formie bezosobowej wypowiedziane zdanie insynuuje, iż komuś było niełatwo pogodzić się z koniecznymi historycznymi faktami. Ale komu niełatwo? Komu było niełatwo „zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów”? Masom ludowym, które wsparte ramieniem Armii Czerwonej i Odrodzonego Wojska Polskiego sięgnęły zdecydowanie po władzę, by jej już nigdy nie oddać? Komu było niełatwo „przemoc stare nawyki myślowe i uczuciowe”? Robotnikom i chłopom, którzy wszystkie swe myśli i uczucia związały z nową uwalniającą się od ucisku hitleryzmu i rodzimych kapitalistów i obszarników. Polską? Kto miał stare nawyki myślowe i uczuciowe? Klasa robotnicza i pracujące chłopstwo, które od wielu lat prowadziły rewolucyjną walkę o nową, zdzierzszą Polskę? Kto miał stare nawyki myślowe i uczuciowe? Czy ludzie, którym najdroższy był postęp kulturalny i oświata powszechna? Komu było niełatwo zrozumieć, że „przed krajem otwiera się tylko jedna droga...”? Masom pracującym dotychczas uciskani i wyzyskiwanym, które w pierwszym na świecie Państwie robotników i chłopów widziały niezwykłego sojusznika w walce o społeczne, narodowe i polityczne wyzwolenie? Nie, nie tym!

Czy ludźmi wierzącymi, katolikom, którzy w przynajmniej większości włączyli się do pracy nad odbudową kraju, nad realizacją zadań, wytkniętych przez Rząd Ludowy? Nie, nie tym! Musi to przynajmniej zresztą sam „Tygodnik Powszechny”, stwierdzając przecznie, iż „byłoby śmieszny i groźnym błędem, gdyby katolicy zamykali oczy na osiągnięcia minionych sześciu lat dlatego, że różni się światopoglądowo od twórców Manifestu Lipcowego”.

Więcej komu było niełatwo? Niełatwo było ludziom i grupom, na które historia wydała nieodwracalny wyrok. Istotnie, niełatwo było „Tygodnikowi Powszechnemu”, który reprezentuje interesy i ideologię tych grup. Niełatwo było „zrozumieć” bęgi historii kapitalistom i obszarnikom, dla których rewolucyjne przemiany naszego kraju były „ziem koniecznym”. Istotnie, niełatwo było „zrozumieć” bieg dziejów „Tygodnikowi Powszechnemu”, który głosi burżuazyjną doktrynę „zła koniecznego”, wynikającego z „położenia geopolitycznego”. Pamiętamy dobrze doktrynerów, którzy w pierwszym okresie po wyzwoleniu „godzili się” na t. zw. rację stanu, po to w rzeczywistości, ażeby zachować możliwość przeciwdziałania biegowi wydarzeń przy pomocy przetrzonych krecich metod.

Niechże więc „Tygodnik Powszechny” nie przemawia w „czyimś” imieniu. Wolno mu bowiem przemawiać tylko w swoim, tylko w imieniu grupy ludzi która wraz z nim znajduje się na marginesie współczesności. Niechże „Tygodnik Powszechny” nie usiłuje dezorientować katolików wskazaniami na rzekome trudności dla nich, wynikające stąd, iż w Polsce buduje się „socjalizm na bazie materialistycznej”.

Podział bowiem na tych, którzy budują socjalizm i tych, którzy w tej budowie przeszkadzają, określony jest nie przez podział na wierzących i niewierzących, na katolików i niekatolików, lecz przez podział na tych, dla których fundamentem jest praca i na tych, dla których fundamentem był wyzysk człowieka.

Wiadomo, czyja to doktryna „położenia geopolitycznego” i wiemy, że obliczona jest ona na sianie fałszywych sprzeczności z elementarnymi prawdami historycznymi teorii. Wiadomo dla kogo nieodwracalne przemiany historyczne były w najlepszym wypadku „malum necessarium” a dla kogo zrozumiałym i oczekiwanym procesem. Niechże więc „Tygodnik Powszechny” nie sili się na „nowo” tłumaczyć historię. Niech lepiej spróbuje przy pomocy „obiednych, utopijstyczno-anarchistycznych” itp. fetletonów wytłumaczyć sobie względami „geopolitycznymi” zgodność swej doktryny politycznej z doktryną swoich rodzimych i obcych protektorów.

Sądymy, iż byłoby to słusniejsze niż twierdzenie, jakoby niełatwo mu było „zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów”. Bowiem nie jest prawdą, jakoby „Tygodnik Powszechny” nie zdawał sobie sprawy z biegu dziejów. Prawdą jest natomiast, że nie łatwo, ba! ciężko i boleśnie jest mu z tym biegiem dziejów się pogodzić.

Zbigniew Szaroi

## Jak bogacze prehandlowali szkołę

Przychodzę do Chorągwy do soltysa tej gromady obyw. Flura Franciszka. Siedział przy stole na ławce i szyl worek. Na mój widok odłożył igłę i mówi, że trzeba worek poratować i zalać, bo to każda rzecz w domu się przydaje, a nie czeka czasu aż w worku większa dziura się wydrze.

Zaczęliśmy rozmawiać; najpierw o tym, że deszczu mało spada na ziemię, że ziemniaki w polach są liche, że pierwsze siana zebrane były dobre, a że jest sucho i słońce pali to i potrawy zdaje się w tym roku będzie brak.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o gromadzie. Zadaniem naszym jest teraz, mówi soltys Flura, zbudować dla naszych dzieci w gromadzie przedszkole. Zakupiliśmy na ten cel 60 metrów cementu. Cement odwieziony został do Niedzowa gdzie z niego wyrobili pustaki. Zakupiliśmy już paręce pod budowę tego przedszkola. Kierowniczką przedszkola będzie ob. Sitko Maria.

Po wyzwoleniu od okupanta dużośmy już zrobili we wsi. Założyliśmy Straż Pożarną — mamy już motopompę i około 200 metrów węży i wszelkie potrzebne przybory. Wybudowaliśmy dom ludowy własnym kosztem i własnymi siłami. Gmina Koźmice Wielkie dała nam na ten cel tylko 5 tysięcy złotych i to było od nich wszystko. Teraz w domu ludowym odbywają się zebrania ZSCh i ZMP. Do świetlicy przychodzi młodzież, czyta gazety, książki i słucha referatów. Mamy częste zebrania gromadzkie.

Przy zwoźce materiału na dom ludowy najwięcej pracy bardzo honorowo oddali: Podstolak Jan i 20 honorowych członków Straży Pożarnej. Pomyślicie, przecież przed wojną za czasów sanacji były u nas we wsi związki młodzieżowe, a nic nie potrafiły zrobić.

Musimy mieć też w Chorągwy szkołę. Ze szkołą to u nas były przed wojną hece, wstyd przypominać. Ale opowiem, żebyście wiedzieli, jakie były te sanacyjne rządy i jak nas bogacze urządzali. Była u nas przecież we wsi szkoła powszechna dla młodzieży i mogłaby ta szkoła być u nas do dnia dzisiejszego i dzieci chłopów z Chorągwy nie musiałyby biec teraz aż do szkoły w Mieniowie. Szkołę w Chorągwy wybudowała zaraz po pierwszej wojnie gmina, ja sam chodząc od tej szkoły, jak byłem jeszcze chłopcem — mówi soltys Flura. W szkole mieszkała się 1 duża klasa 3 pokoje 2 korytarze i 2 piwnice...

— No i co się stało z tą szkołą? — Otóż za czasów sanacji — Soltys Flura splunął z obrzydzeniem — bogacze, którzy wtenczas trzęśli gminą, sprzedali, dranie szkołę. Bo mówili, że lepiej jest kupić 1 morg lasu, w którym chcieli kamień kępać i

spieniężyć. Na szkole machnęli obójtę reka — e, co nam po szkole, że szkoły nie ma dochodu. I dopiły swojego. W roku 1937, kiedy zaczęto budować szkołę powszechną w Mieniowie, siedzibie gminy, do której należała jeszcze wtenczas nasza gromada Chorągwa, postarali się, dranie, z Kuratorium Okręgu Szkolnego o zezwolenie na sprzedaż szkoły w Chorągwy — patrzcie, jakie wtedy było to Kuratorium, że pozwoliło — i szkołę kupił niejaki Dębowski Franciszek z Mieniowa. Dębowski zamieszkał w szkole. Po wojnie chociaż klasa była próżna i nie zajęta, nie pozwilił, ażeby w szkole odbywały się imprezy artystyczne ZMP czy ZSCh. Myślimy jeszcze wtedy nie mieli domu ludowego, zebrania nasze odbywały się w prywatnych domach i po stodolach i tak gnietliśmy się, gdzie mogliśmy np. u Stelmacha Wojciecha, Fańcuł Józefa. A potem Dębowski i jego żona sprzedali światłowowi za 90 tysięcy połowę szkoły, która światłowemu odrazu rozebrał na swoje cele, a w połowie mieszka jeszcze Dębowski.

Tak nas wyszykowali! Ale my szkołę musimy mieć. Jak potrafiliśmy postawić dom ludowy, potrafimy postawić i szkołę. Władza Ludowa pomoże! Przecież idzie plan 6letni.

Bolesław Kozub Grabówkl.

## KSIĄZKI NADEŚLANE

Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza  
Michał Rusinek — Z barykady na dolinę głodu, str. 196.

„Prasa Wojskowa”  
Kaden Gustaw — Legion Mickiewicza, str. 92, Nonas Andrzej — Ateletyka terenowa, str. 81, Zakrzewski St. — Rzut, str. 136, Sutowski S. — Gazeta w pracy radzieckiego agitatora, str. 55, Karol Bogumił Stółcar — Partyzantka, str. 173, Kłyszko Waleenty — Koszykówna, str. 116, Sapin W. — Tajemnicze zniknięcie inżyniera Brobrowa, str. 44, Zamatin N. M. — Drogocenne uderzenie, str. 28, Zymc i walka Józefa Stalina, str. 53, Wielka Wojna Narodowa Związku Radzieckiego, str. 30.

Państwowy Instytut Wydawniczy  
Juliusz Verne — Lowcy Meteorów, str. 250, Leon Przemski — Kamieński, str. 266, W. M. Thackeray — Pierścien i róża, str. 187, Zuzanna Wantoch — Nan Lu, str. 118, Joseph Conrad — Zwierciadło morza, str. 222, Rabelais — Gargantura i Pantagruel, Joseph Conrad — Lord Jim, str. 268, Georges Politzer — Wykład Filozofii, str. 221, Mark Twain — Bajeczki dla starszych dzieci, str. 248, Barbara Giles — Rodzina Durelow, str. 395.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL  
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.  
Tel. Red. Nac. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89. wewn. 23 i 97

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „C Z Y T E L N I K”  
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:  
miesięcznie 100,—zł; kwartalnie 300,—zł; półrocznie 600,—zł; rocznie 960,—zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za twz. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/62  
B-116162

## Niedaleko od Warszawy

W rzucnym między puszcze Suchedniowie kieleckim, gdzie setki lat temu mistrzowie ówczesni topili rudę świętokrzyską na żelazo — ludzie pozaprosili laurów racjonalizatorów i przodowników pracy Polski Ludowej, pamiętni historycznych tradycji mistrzów Andrusza Suchynia i innych — dokonali wcale nie małej rzeczy.

Zbudowali sami w dość prymitywny sposób — wibrator, przyrząd konieczny do produkcji masywej tzw. trylinki, elementu zasadniczego nawierzchni szosowej, wynalezionej i wypróbowanej przed wojną przez inż. Trylińskiego.

Właśnie bowiem w Suchedniowie mieści się kierownictwo budowy i warsztaty prefabrykacyjne elementów budowlanych — ważnej gospodarczo i kulturalnie drogi — łączącej okolice i górzyste, niedostępne, odcięte od świata tereny świętokrzyskie z przemysłową częścią kieleckiego: Suchedniowem, Skarżyskiem, Starachowicami itp.

W tej chwili — dzięki skonstruowaniu wibratora — Suchedniów może dziennie produkować 1.000 sztuk „trylinki”, sześciobocznej bryły cementowo-kamiennej, tworzącej nawierzchnię trwała, bez naporu utrzymująca się 15 lat — na drodze.

A 1.000 sztuk „trylinki”, to 1 km. szosy!

Robotnicy i kierownictwo budowy z inż. Krogulcem, człowiekiem miejscowym, którego nazwisko jest powszechnie spotykane na wsiach świętokrzyskich, na czele — mają więc prawo do słusznej dumy i mogą mówić:

„Gonimy Plan 6-cio letni! Nawet nam się ta pogoń nieźle udaje, co?”

Trzeba przyznać, że ci robotnicy, w większości chłopcy z okolicznych wiosek, entuzjastycznie witały nową, szeroką drogę zbliżającą do nich kulturę i dobrobyt, a nam udostępniającą rolę produkcji świętokrzyskiej i piękno szlaku Żeromskiego — wcale dobrze oceniają swoją pracę i swoją rolę. W biegu do socjalizmu, przegonił pewne elementy planu — to zarazem podciągnął słabszych, to zarażił dynamiką i entuzjazmem innych.

Robotnicy zrozumieli, że obok planu, nawet najlepszego, decydujący jest żywy, twórczy człowiek, skonstruowali wibrator wiosną 1950 r. i w r. 1951 już będą jeździć szeroką, piękną szosą!

Kd.